

Bochiński Tomasz

Dama w opresji

Z „Science Fiction”

Elizabediath Monck był pijany. Bardzo pijany. Wedle słów Dalamberta: „w biedronkę”. Czeladnicy określali ten stan „upiciem się w trzy dupy”.

Krótko mówiąc: Monck, mistrz grabarski, był pijany w trupa.

I nic dziwnego, uczestniczył przecież w dorocznym spotkaniu seniorów i najbardziej utalentowanych czeladników szacownej gildii. Jak zawsze uroczystość miała miejsce w oberży noszącej dumny szyld „Korona i Miecz”. Lecz nikt nie nazywał jej inaczej niż „Gospodą pod Trupkiem”. Pijatyka trwała od rana, a tu już północ nadchodziła szybkimi krokami. Monck ledwie siedział na ławie. Dość miał jednak siły, by wraz z innymi konfratrami walić cynowym kuflem w stół i ryczeć nieoficjalny hymn cechu:

*Bo my jesteśmy zacni grabarze w swoim fachu wyjadacze starzy. My wam zagramy i
zaśpiewamy: Niech nam żyje, żyje nam sto lat*

*A gdy ktoś z waściów będzie taki Grzeczny, że się już uda na Spoczynek wieczny, to mu
zagramy zaśpiewamy...*

Ktoś nieśmiało pociągnął Moncka za rękaw. Nie zwrócił na to uwagi, dopiero następne, znacznie silniejsze szarpnięcie spowodowało, iż z wysiłkiem skupił wzrok na natręcie. Zobaczył dwóch identycznych młodzieńców o jasnostomkowych włosach i okrągłych twarzach. Kufel wypadł mu ze zdrtwiałej ręki.

- Jesteśmy bliźniakami... - powiedział chłopak, trafnie zrozumiawszy powód paniki grabarza.

- Cccoo? Cecie? - wybelkotał.

- Mistrz Elizabediath Monck? My z wezwaniem... Trzeba, by się pan udał do grobowca Tuan Dagger i spenetrował...

Nagły poryw wściekłości sprawił, że Elizabediath skoczył na równe, acz chwiejne nogi. W czarnych oczach błysnęła chęć mordy. Jemu - grabarzowi z dziada pradziada, mistrzowi cechowemu - proponując uczestnictwo w profanacji grobu?!

Młodzieńcy nie ulękli się wszakże strasznej miny. Stojący bliżej dopowiedział szybko: - Zaginęła tam Francine Dalambert, pana była...

Monck przestał słuchać.

Francine, słodka Francine w niebezpieczeństwie... O tak, wyruszy natychmiast... Tylko czemu polepa się tak kotysze?

Elizabediath Monck postąpił krok i z rozgłośnym łomotem leął jak długi. Gasnący umysł odebrał jeszcze wrzask braci cechowej z zachwytem witającej nowe „zwłoki”. Z rumorem odsuwano ławy formując „kondukt”. Gospoda rozbrzmiała pieśnią:

*W mogile ciemnej śpisz na wieki Ojra ojra u - ha! ha! Już zamknięte masz powieki
Ojra ojra u-ha! ha!*

Tego, jak poniesiono go, by złożyć obok innych ofiar mocnego litterneńskiego piwa, już nie czuł. Świadomość miała wrócić następnego dnia - wraz z kacem zgoła niehumanym.

Vito Finito był człowiekiem pełnym sprzeczności. Miano, które nosił, wymyślił dawno, by nie szargać po gościach rodzowego nazwiska, i nie porzucił aliasu, nawet gdy przestał służyć w najemnych kompaniach. A przecież nie czynił nic zdrożnego. Ot, pisywał pamflety, badał dawne dzieje. W uciężnych historyjkach przybliżał życie bohaterów przeszłości Ocalonej Krainy. Mieszkał na podgrodziu

Barrow w walącej się chacie, lecz porządek miał w niej idealny: polepę wymieciono tak, że mysz by się nie pożywiła, nieliczne sprzęty lśniły czystością.

Miłośnik niewiast, uważający je po cichu za stojące znacznie wyżej od własnej płci, odwiedzał zamtuzy i wesołe karczmarki, lecz tylko ku niewinnej rozrywce, bo łoże zwykł dzielić wyłącznie ze swą nadobną małżonką. Żarłok niezmierny, miał w pogardzie bażanty i trufle, gotów był jednak wchłonąć każdą ilość kwaśnicy, byleby należycie tłustej. Bez szkody zresztą dla muskularnej sylwetki.

Leżał na sienniku patrząc w sufit, a może nawet w niebo poprzez liczne szpary. Nudził się okropnie. Co prawda miał zamówienia tak na wiersze, jak i prozę, ale wyznawał zasadę, by robić pojutrze to, co należałoby czynić dziś. Dzięki lotnemu umysłowi i umiejętności nieprzerwanej pracy zawsze zdążał na czas. Choć często na ostatnią chwilę.

Skrzypnięcie drzwi powitał niechętnie, bo chociaż był z niego człek towarzyski ponad miarę, z jakiegoś powodu nie znosił niezapowiedzianych wizyt. Uniósł się na łokciu, a potem opadł na barłóg wdychając z ulgą. To tylko Monck - jeden z niewielu znajomych wartych, by zwać go przyjacielem. Spojrzał uważnie w twarz grabarza i się przestraszył: ten człowiek był chory, i to ciężko.

- Zjazd cechu. Wczoraj - rzucił Elizabediath uspokajająco i opadł na kulawy stołek.

Vito pokiwał głową. Wstał, otworzył piwniczkę i wydobył antałek. Napełniwszy szczerze kufel, podał go ostrożnie Monckowi. Sam kontentował się pić wprost z brzuchatej baryłki.

- Tfu! ale świństwo! - Dreszcz wstrząsnął ciałem Moncka; mimo to nie odrywał ust od naczynia. Gospodarz wzruszył ramionami. Po co kupować drogie marcowe, skoro „siki” dawały ten sam efekt, oczywiście przyjęte w odpowiednio dużej dawce.

Kolory powoli wracały na twarz grabarza. Wreszcie odetchnął głęboko i odstawił pusty kufel.

- Mam kłopot. Pamiętasz Francine Dalambert? Opowiadałem ci o niej...

Vitowi rozbłyły oczy.

- Ta ruda? Rzeczywiście, wspominałeś. Ponoć apetyczna dziewczuszka. I co z nią?

- Zaginęła plądrując grobowiec Tuan Dagger.

Finito rzucił ciężkim słowem i okazał należne współczucie, ściskając ramię Moncka.

- Taka śmierć... okropne. Trzymaj się, chłopie.

- Vito... zamierzam odszukać Francine...

Po chwili głuchego milczenia gospodarz rzekł:

- Czy ja dobrze słyszę?!

- Przecież wiesz... ja muszę.

- Wzór cnót grabarskich postanawia sprofanować grobowiec starożytnego wodza i maga?

- Vito, dość. Sądzisz, że mi lekko na duszy? Udzielić pomocy Francine... to dla mnie konieczność. Po prostu konieczność.

- A wiesz ty, że nikt spośród głupców, którzy mieli podobne zamiary, nie powrócił? Żeby to jeszcze jakiś młodziak mi takie projekta przedstawiał, no, to z Ghelogiem! Ale ty? Toć przecież nie bez kozery mówią o Tuan Dagger, że jest najniebezpieczniejszym miejscem w Ocalonej Krainie.

- Wiem. Bywaj, Finito.

- Zaraz! Stój! Przecież nie puszcę cię samego, ale o swoją dupę w tej wyprawie boję się okropnie...

- Vito, przyjacielu. Liczyłem na ciebie, bo i ja jestem w strachu. Ale nie mam wyboru. Ja... czuję się winny temu, co uczyniła Francine.

- Jakże to? Dlaczego?

- Opowiem. Później. Wybacz.

- No... dobrze. Kiedy wyruszamy?

- Niebawem. Ale najpierw musimy znaleźć niejakiego Phila Rope'a. Drań zrabował przesyłkę od Francine, bez niej ciężko będzie...

- Monck! - przerwał Finito. - Wiem, gdzie przebywa ten... obwieś. Ale miejsce jego pobytu niewiele mniej budzi grozy niż Tuan Dagger.

- Czyżby?

- Grobowiec maga leży daleko za górami.. Wielu wątpi, czy naprawdę istnieje. A Rope, doszły mnie słuchy, skrył się w melinie na Mrocznych Podwórcach. Sam Wielki Goerth daje mu opiekę.

- Książę zbrodniarzy i wszelkich mętów...

- Właśnie, grabarzu.

* * *

Finito wkroczył do mordowni pozbawionej szyldu, lecz znanej jako oberża „Pod Dębową Lagą”. Wsunął się do tego przybytku z duszą na ramieniu i niemal jak duch niepostrzeżenie. Zaraz też opadł na najbliższą ławę i utkwiał wzrok w brudnym blacie stołu. Nie rzucił też ani jednego spojrzenia na salę, by przypadkiem nie skrzyżować wzroku z jakimś zbójem. Tyle tutaj wystarczyło, by zostać pobitym ze skutkiem śmiertelnym. Może Vito nadmierną stosował ostrożność, boć jeśli już ktoś wszedł pod „Dębową Lagę”, bywalcy zazwyczaj uznawali jego prawo do wypicia kufelka czy dwóch. Może... Wołał nie sprawdzać.

Drzwi skrzypnęły ponownie. Tym razem długo, przeciągle. Demonstracyjnie.

Rozmowy w przestronnej izbie zamilkły, a potem przez zatrutą smrodem niemytych ciał i oparów przetrawionego alkoholu atmosferę wionął zbiorowy, pełen zachwyty jęk.

Będąca jego przyczyną niewiasta podeszła powoli do stosu skrzyń pełniącego rolę szynkwasu, kontrapunktując zaległe milczenie stukotem pantofelków. Jak to robiła na polepie zasłanej trocinami, tego Finito nie umiał sobie wytłumaczyć.

I nawet nie próbował. Jego małżonka skrywała niejedną tajemnicę.

Annika oparła się o szynkwasa i wdzięcznie przegięta, by wyeksponować krągłą pupę, spojrzała oberżycie w oczy. Niejeden ze zbirów gwałtownie zapragnął zostać choćby pomocnikiem w knajpie. Bo też dekolt damy kończył się gdzieś w okolicach pępka. Nie tak znów gęste koronki ledwie skrywały jędrne cycuszki. Ospowaty drągał zerwał z bioder brudną szmatę i począł przecierać dechę stanowiącą blat szynkwasa - bezskutecznie.

- Dobry człowieku, napiłabym się grzanego almadena... - przemówiły różane usteczka.

Ospowaty w najwyższej panice nie zwrócił uwagi na fakt, iż go obrażono. „Dobry człowieku?” Całe życie pracował na to, by nikt tak nawet o nim nie pomyślał. Wino! Dama życzyła sobie wina! Grzanego! - myśl ta grzechotała w zrozpaczonej pustce umysłu aż do chwili, gdy błysk olśnienia poderwał draba do czynu. Chwycił pokrytą kurzem flachę - trzymaną specjalnie dla Wielkiego Goertha, który nie popolitował się chlaniem piwka. Potem runął do paleniska, by rozgrzebywać dawno wystygłe popioły. Znalazł - o cudzie! - iskrę i jął dmuchać z takim przejęciem, aż mu oczy na wierzch wyszły.

Annika patrzyła na te heroiczne wysiłki z pogodnym, pełnym wyrozumiałości uśmiechem.

Vito obserwował, jak zgromadzeni w spelunie zbójce chłonili niebywałe zjawisko. Niejednemu ciekła ślina, kilku podejrzenie manipulowało rękoma schowanymi pod dechami stołów. Nikt jednak nie zbierał się, by daną damę skonsumować na miejscu.

Rozumiał ich. Annika wyglądała jak ucieleśnienie marzeń; w jednej postaci kurwa i księżna zarazem. Było coś w jej twarzy i sposobie bycia, co onieśmiało, stanowiło barierę zda się nie do przebycia. Lecz jak długo oczarowanie utrzyma w ryzach morderców, rabusiów, złodziei i innych poddanych Wielkiego Goertha?

Rozejrzał się po izbie. Szczęście dopisało. Człek, którego szukał, siedział niedaleko, i jak inni pozerzał wzrokiem Annikę. Rozmarzenie nadawało tłustej, poznaczonej liszajem gębie wyraz prawie sympatyczny. Spokojnym krokiem podszedł do grubasa i usiadł naprzeciwko. Zaraz tego pożałował, bo obrzydliwcowi odbiło się potężnie. Finito miał wrażenie, iż smrodliwy wicher oberwie mu głowę.

- Eeep. - Świntuch wyrzekł głęboką myśl i skrzywił pysk, tak zapewne wyrażając całą gamę przeprosin.

- Też tak sądzę - odparł Finito. - Phil Rope, jak mniemam?

Z lśniącej od potu twarzy znikło rozmarzenie, czujność zagościła w małych oczkach.

- Gdyby nawet, to co?

- Mam interes.

- O zesz w mordę. Naprawdę? - Rope'owi zebrało się na ironię.

- Tak. Rzecz jest prosta. Oddasz bez bicia co nie twoje. Zabarałeś to moim młodym kompanom.

- Niegrzeczny ze mnie chłopak... Starczy, że krzyknę, ośle, a moi kompani zjedzą cię żywcem, nawet jeżeli trzymasz pod stołem majcher.

Finito położył dłonie na blacie.

- Na co mi nóż? Zaraz oznajmię wszystkim, że znieważyleś damę przy szynkwasio.

Phil Rope uśmiechnął się lekceważąco. Zerknął jednak na miny co paskudniej szych zbójów i uśmiech zbladł. Vito wstał wołając:

- Hej...

Urwał, pociągnięty łapą Phila na ławę. Nikt nie zwrócił uwagi na tę scenkę, bo Annika postąpiła krok ku palenisku i zauroczona bandyteria dostrzegła, iż suknia miała rozcięcie z boku aż do połowy uda...

- Wiesz, co ci zrobią? Jak sądzę, ten tam z brzegu - Vito Finito wskazał istne monstrum ludzkie - wbije twój łeb w kufel, tak że najlepszy kowal tego nie zdejmie, a ten...

- ...bra! Cego kcesz? - lekka panika uczyniła wypowiedź Phila nieco niewyraźną.

- Wyjdiesz teraz przed knajpę. Tam spokojnie porozmawiamy i rozstaniemy się jak przyjaciele.

- No... niech będzie...

- Więc biegnij, zajączku.

Rope popatrzył dziwnie na Finito i potruchtał, kołyszając tłustym cielskiem, do drzwi. Vito dał znak Annice. Pora była kończyć występ. Małżonka okazała wyraźne rozczarowanie, przecież tak wspaniale się bawiła! Ale skinęła głową na zgodę - cóż, jej Finito bywał czasem uparty...

* * *

Phil Rope budził się z koszmarnego snu. Bolała go głowa, było mu chłodno i nie mógł się poruszać. Leżał na wznak, porę dnia z trudem zidentyfikował jako wczesny poranek. Niebo zimne i szare wisiało nisko nad jego grobem.

Nad jego grobem?!!

Spoczywał w prostokątnym dole na wilgotnej glinie. Ciało od pasa w dół przysypane było piaskiem. Ręce miał związane, w ustach tkwił kłęb szmat. Usiłował zapanować nad paniką, ale bez rezultatu. Nie mogąc krzyknąć, mrucał wściekle jak zerwany z zimowej drzemki niedźwiedź. Po dłuższej chwili na tle coraz jaśniejszego nieba dostrzegł długą, chudą sylwetkę w czarnym stroju.

- Chcesz czegoś? - łagodnie zagadnął oparty na szpadlu grabarz.

Rope zaczął rzucać się i wić, mruczenie przeszło w zduszony ryk.

- Widzę, że tak. Tylko szybko, bo muszę kończyć robotę - powiedział zsuwając lawinę piachu na pierś Phila. Grzebany nie wytrzymał, napaskudził w spodnie i zalał się rzewnymi łzami.

- No już dobrze, gadaj! - Grabarz uklęknął i wyszarpnął knebel z ust Rope'a.

- Aaa! Oddam wszystko, całą forszę. Co tylko chcesz!

- Wczoraj byłeś bardzo niemiły, zajączku - nad mogiłą pochylił się człowiek, który zeszłego wieczoru wyprowadził Phila z knajpy - nie dość, że nie chciałeś zwrócić tego, co ukradłeś, to jeszcze - mówiący potarł siniak na szczęce - awanturowałeś się okropnie. Postanowiliśmy więc urządzić ci zacny pochówek. Mój przyjaciel jest grabarzem z dziada pradziada. Będziesz pogrzebany zgodnie z wszelkimi regułami sztuki....

- Oddam wszystko, chcę żyć! - zawył Rope.

- Wczoraj miałeś szansę... dziś jest za późno. Po co się stawiałeś, zajączku?

- Te rzeczy... obiecałem Wielkiemu Goerthowi.

Prześladowcy Phila wymienili spojrzenia.

- I co? - zapytał grabarz. - Oddałeś?

- Wynikła kwestia ceny...

Przyjaciel grabarza gwizdnął przeciągle.

- Targowałeś się z Wielkim Goerthem? Chłopie, masz jaja!

- Albo bardzo mały rozumek - rzucił czarno odziany drażał. - My tu gadu gadu, a robota czeka - sięgnął po szpadel.

- Wszystko ukryem, w wyodku. - Rope w pośpiechu gubił głoski. - Naprawdę.

- Sprawdźmy. Pójdę po to, a grabarz dotrzyma ci towarzystwa.

Zza krawędzi dołu wyjrzało słońce, rozbliły na srebrnym szamerunku stroju cmentarnego fachowca, oświetlając pociągłą twarz o smutnie wygiętych ku dołowi kącikach ust.

- Nudno - rzekł siadając na stercie gliny. - Opowiem ci parę śmiesznych historyjek...

Słońce świeciło Philowi prosto w oczy, gdy powrócił drugi dręczyciel.

- Wszystko jest... chłopcy potwierdzili. Ej! Co on tak źle wygląda? Szary taki jakiś i spocony?

- Może mu zaszkodziła wczorajsza wieczerza... ja tylko bawiłem go grabarskimi krotochwilami.

- Starczy tego dobrego.

Grabarz zeskoczył do wykopu. Wyciągnął nóż. I błyskawicznie przeciął więzy. Drugi prześladowca rzucił na odchodnym:

- Lepiej, żebyśmy się więcej nie spotkali, zajączku!

Minęła chwila, nim oszołomiony Rope zdołał odpowiedzieć. Ku zdumieniu znacznie już oddalonych mężczyzn nie były to przekleństwa ani groźby.

- Dlaczego „zajączku”?! - zaskomlał żałośnie.

* * *

- I co my tu mamy? - Finito rozłożył odzyskaną przesyłkę Francine Dalambert na stole.

- Same kłopoty, bracie, same kłopoty - odparł Monck oglądając poczerniały sztylet z brązu. Odłożył broń na blat, sięgnął po następny przedmiot lustrując go uważnie.

- Klamki nie widziałeś?

- Finito, głębia twych komentarzy mnie poraża. A ty widziałeś złotą klamkę z rubinem jak wole oko?

- To... złoto?

- Niewątpliwie. Zobaczmy, cóż jeszcze Francine nam przekazała.

Rozłożył pergaminową kartę na stole. I gwizdnął.

- No tak. Nic dziwnego, że Rope śmiał się targować z Goerthem. Toż to dokładna mapka usytuowania wejścia do grobowca. Według mnie, bardzo stara... Ech, że Dalambert gdzie się zapodział! Ten by wiedział wszystko!

- Tatulek pięknej Francine?

- Opój, obrzydliwiec, hiena cmentarna i mag. Ale co za łeb! No, ale i my nie od macochy. O! Notatki własną ręką Frań spisane...

- Daj, ja przeczytam. Oszczędzi to nam twoich westchnień i zamyśleń...

- Masz - Monck wetknął Vitowi do ręki zapisane pospiesznie karty - swoją drogą złośliwe bydlę z ciebie...

- *Mój drogi Moncku, wypróbowany przyjacielu. Piszę te słowa w wielkiej trwodze będąc i nadziei zarazem, żeś nie zapomniał, jak piękne chwile spędziliśmy wspólnie. Pomnisz...*

- Vito! Opuść ten fragment, bo cię zdiełę!

- Ech! Dałbyś poczytać, to wcale interesujące...

- Finito!

- No dobrze, ciekaw jestem tylko, co powie twoja ukochana Katrina, gdy liścik przeczyta,

- Nie przeczyta. A wyprawę do Tuan Dagger nie tylko mi wybaczy, ale jeszcze będzie żałować, że mnie nie mogła wesprzeć. Poznałem już jej szlachetność...

Vito Finito pokiwał z ubolewaniem głową - Monck był taki naiwny! Nic nie wiedział o niewiastach, a w każdym razie nic o mechanizmach działania ich cudownie zagmatwanych i całkowicie alogicznych umysłów. Czytał dalej:

- *...przebywam obecnie w trzewiach grobowca Tuan Dagger. Z ważkich powodów, zapewniam Cię, przyjacielu. Wierni moi towarzysze czekają u stóp Skały, a ja mam jeszcze kęs czasu, by napisać tę suplikę i wraz z niezbędnymi do odnalezienia mnie przedmiotami wyrzucić ją przez otwór, który o zmierzchu zniknie nieodwołalnie. Och! Muszę kończyć, słyszę kroki dobiegające z otchłani, nie mogę pozostać tu ni chwili dłużej...*

Błagam na wszystko, przybądź i jeszcze raz ocal swą kotkę.

Francine Dalambert

Ostatni dzień lata, tuż przed zmierzchem.

- Swoją kotkę? - Vito odłożył papier na blat stołu.

- Cóż - na usta Moncka wypłynął blady uśmiech - tak naprawdę nigdy nie była moja, choć pozwoliła mi się ludzić... Ale zostawmy to. Istotne jest co innego: list datowano przed dziesięcioma dniami. A zagrożenie było bliskie...

- Do czego zmierzasz, przyjacielu?

- Do tego, że w tej chwili winniśmy skoczyć na konie i ruszyć galopem na ratunek...

- Aha. Rozumiem...

- Ale nie skoczmy, bo do kroćset biedniemy obaj jako dziady ostatnie. Wiesz przecież, że nie bez nadziei na uzyskanie posady przyjechałem do Barrow. I niestety na nadziejach się skończyło. Skąd więc wziąć srebro na rumaki, broń, inne potrzeby? Pieszko dojdziemy w miesiąc, albo i wcale... gościńce w Litternie nie są zbyt bezpieczne. A co będziemy jeść? Korzonki?

- Do licha, pić byśmy musieli czystą wodę! - wykrzyknął ze zgrozą Finito. - Ale... mój drogi, czy nie desperujesz za bardzo? Przecież... - sięgnął ku złotej klamce.

- Francine jednoznacznie napisała, że ten kawałek metalu niezbędny jest, byśmy ją mogli odnaleźć. Sprzedamy klamkę, i co? Staniemy pod jakimiś magicznymi drzwiami bezradni... nie, nie tędy droga.

- Mógłbym wyprosić o jakąś zaliczkę...

- A ja pewnie pożyczylbym od konfratrów niewielką kwotę. I wiesz co, Finito? Konie wystarczy wynająć. Ale przy tych zasobach pewnie na psach by nam przyszło jechać. I jeszcze ci powiem, że mierzynki bliźniaków są zajęzione niemal na śmierć... A choć jeden z braci musi z nami jechać, bo inaczej grobowca, mimo mapki, szukać będziemy rok z okładem.

Finito westchnął.

- Co za podły świat, żeby coś tak marnego jak grosz uniemożliwiało wyruszenie na ratunek damie w opresji! Tfu! A gdzie promyk nadziei?

W drzwiach chaty stanęła Annika. Skromnie ubrana, w czepku, jaki zwykły nosić mieszczyki, ani trochę nie przypominała zjawiska, które długo jeszcze miano wspominać w mordowni „Pod Dębową Lagą”. Twarz miała zmęczoną, widać obowiązki w miejskim hospicjum srodze ją wyczerpały.

- O czymże rozprawiacie, moi panowie? - zagadnęła zdejmując szary samodiałowy płaszczyk i odrzucając na skrzynię tobołek, zapewne pełen ziół i szarpii.

- Ach, piękna pani - rzekł z westchnieniem Monck - chyba pierwszy raz w życiu żałuję, że ubogi. - Tu grabarz opowiedział treść listu Francine i dodał: - Będziemy musieli ruszyć na odsiecz piechotą...

- To okropne! Tam niewiasta w obieży! - zakrzyknęła Annika. Zamarła na chwilę, potem na wybladłą twarz wypłynął rumieniec, a oko ożywiła szelmowska iskra. Połowica Vita bez dalszych dywagacji znikła za cienkim przepierzeniem i sądząc z odgłosów zamykania i otwierania skrzyń oraz szelestów i zniecierpliwionych fuknięć, poczęła się przebierać.

Monck spojrzał pytająco na przyjaciela. Ten wzruszył ramionami.

- Kochanie? Zmęczonaś, może podać ci wina z miodem? - zagadnął ostrożnie.

- Nie! - padła odpowiedź, głos Anniki zdradzał irytację.

Vito ponownie wzruszył ramionami.

Przyjaciele podjęli dalsze rozpaczliwe próby wymyślenia sposobów na podreperowanie finansów. Rozpatrzywszy się w swym chudym majątku, który można by sprzedać lub zastawić, obaj popadli w przygnębione milczenie. Przerwał je Finito:

- Można by wziąć mocną pałę i jakiegoś majątnego mieszczyka obłuskać...

- Mierna krotchwila, Vito. Co gorsza nawet nikomu o tym grobowcu powiedzieć nie możemy, bo jak nic runęłyby tam wataha hien cmentarnych. A na to pozwolić nie mogę...

- Ech, z tymi twoimi skrupułami... Francine czeka! Ale masz rację. Zapewne nic byśmy nie zyskali, za to moc kłopotów ściągnęły sobie na głowy.

Zza przepierzenia na środek izby wyszła Annika. Monck wybałuszył oczy. Naprawdę nie wyglądał zbyt mądrze z otwartymi ustami i grymasem zdumienia na chudej twarzy. Vito uodporniony na przemiany małżonki patrzył spokojnie, jego oblicze błyszczało zadowoleniem. Kochał przecież niepospolitą niewiastę i uwielbiał chwalić się jej urodą. A było czym, gdy o siebie zadbała. Przybrana w czarną jedwabną suknię obszytą złotymi koronkami, z cudowną białą krezą u szyi i takimiż mankietami, zachwycała. Strój bogaty, a jednocześnie elegancki czynił z niej damę wysokiego rodu. Twarz, lekko ułożona, z brwiami muśniętymi węglem i ustami zwilżonymi jakimś czerwonym sokiem, wprost promieniała.

Monck wstał i milcząc złożył głęboki ukłon. Dama podziękowała dystygowanym skinieniem urękawiczonej dłoni.

- Mężu, wychodzę. Wątpię raczej, bym zdążyła powrócić przed świtaniem.

- Ale, czy to rozważne? Po zmierzchu...

- Wstąpię po Gasparda, będzie mi towarzyszył, a wieczorem niósł latarnię. Nie wypada przecież, bym chodziła sama - odparła znikając za drzwiami.

- Ty jej ufasz - wyrwało się Monckowi; ledwie zamknął usta, a już żałował swej impulsywności.

- Całkowicie - odparł z kamiennym spokojem Vito.

„Finito jest człowiekiem bardzo naiwnym” - pomyślał Monck. - „Lecz to nie moja rzecz.” I, by zmienić temat, rzekł:

- A wiesz, dotąd się dziwię, że wystawiłaś ją na takie ryzyko w tej ponurej mordowni... mogli ją zgwałcić, zabić i... wybaczyć! dziwne, że tego nie uczynili.

- Nie pierwszy raz szliśmy na taki hazard. Ona to uwielbia. A co do „Dębowej Lagi”, sędzę, że oprócz czaru Anniki zadziałało podejrzenie, iż jest kochanką Wielkiego Goertha.

- Wiesz? To bardzo możliwe...

- Wracając zaś do kwestii zaufania. Mam żelazną pewność, że dusza Niki należy wyłącznie do mnie. Ciało zaś... - Finito wzruszył z lekceważeniem ramionami - ciało to przecież jej sprawa.

Elizabediath Monck gwałtownie chwycił garniec, by ukryć w nim twarz. Vito Finito popatrzył nań z uśmiechem i zasalutował kuflem.

Dziesiątki coraz mniej realnych projektów rozpatrzyli do północy. Wreszcie Finito, zmęczony, trunkiem opadł na barłóg, przymknął oczy i wyrecytował:

W pijanym widzie pisać wiersz to jest życzenie me najpierwsze pisać na temat byle jak pijane, sennie wieść majaki Żebyś pan, panie, miał pomysły Co to by, panie, w noc nie wyschły Cobyś pan kochał i pił, i żył, Cobyś pan, panie, w ogóle był

„No to koniec „ - podsumował w myśli grabarz. „Na wiersze zeszło...” Pili do rana.

* * *

Tuż przed południem obudziło Moncka pragnienie. Zwlókłszy się z barłogu, popęzł do stołu. Tam wychylił resztkę zwietrzałego piwa. i westchnął z ulgą. W tej samej chwili rozległo się zdecydowane pukanie do drzwi. Elizabediath poczłapał jak stał w gaciach i zmiętej koszuli. Gwałtownym szarpnięciem otworzył natrętowi, gotów powiedzieć parę słów przykrych, a nawet obraźliwych.

Lecz słowa te nigdy nie padły, gdyż grabarz zapomniał języka w gębie.

Oto stał przed nim zwalisty mąż w eleganckim taftowym stroju barwy ciemnego fioletu, znakomicie dobranych pończochach i zacnych trzewikach ze złotymi kłamrami. Głowę zaś zdobiła biała, misternie trefiona peruka. Jedna z tych, co to niedawno weszły w modę.

Nie elegancki ubiór zdumiał grabarza, lecz fakt, iż znał przybyłego. Zwał się: Adalbert Bodin i był najstynniejszym jurystą w Barrow. Mówiono o nim „Topór”, jako że był równie finezyjny i skuteczny jak to mordercze narzędzie. W pojedynkach na prawa zwyczajowe, jak i wymyślone przez długą linię książąt litterneńskich nie miał sobie równych.

- Pan Finito? - zagadnął jurysta opuszczając laskę o srebrnej gałce, którą łomotał do drzwi.

„Na miłość Przodków, Vito napisał o jeden paszkwil za dużo” - pomyślał, lecz nie zdążył udzielić nijakiej odpowiedzi.

- Jam nim jest - powiedział z za pleców grabarza zaspany głos.

- Reprezentuję pewnego szacownego mieszczanina... czy nie moglibyśmy rozmówić się wewnątrz?

- Oczywiście. Monck, przepuść pana.

„Topór” Bodin spojrział z zaciekawieniem na grabarza.

- Eliza...

- Monck, mistrz grabarski. Do usług.

- Och, mam nadzieję, że jeszcze długo nie - rzekł ze śladem uśmiechu w zimnych dotąd oczach Bodin.

Wchodząc do izby ogarnął wzrokiem bałagan po nocnym pijaństwie i domyślił się porządku, jaki tu panował na co dzień. Bez słowa komentarza usłuchał zapraszającego gestu Finita i usiadł na stołku. Po czym jednym ruchem laski zmiotł na podłogę kufle, niedojedzone szczątki kurczęcia i pustą flaszkę. Gospodarz już miał na ustach słowa, których nie sposób cofnąć, ale Bodin wyjął z za pazuchy ciężką sakiewkę i położył na opróżnionym blacie, by zaraz wzmocnić osłupienie Finita i grabarza, dołożywszy drugą, taką samą.

- Pan, którego reprezentuję, udziela waści tej pożyczki. Termin zwrotu do końca roku. Procent zwyczajowy. W razie opóźnienia będą zajęte pańskie dobra tak ruchome, jak i nieruchome.

Adalbert Bodin wstał, uznawszy widać swą misję za wypełnioną.

- Zaraz, łaskawco, kim jest darczyńca? Skąd się dowiedział o naszej potrzebie? Jak...

- Wszystkie te pytania muszą zgodnie z wolą mego klienta pozostać bez odpowiedzi. Jak rozumiem, przyjmuje pan warunki?

- Tak...

- Tedy żegnam i życzę powodzenia. Ale... ale... - dodał innym tonem - po takich ludziach jak wy spodziewałbym się czegoś lepszego. - Tu wskazał pobjowisko, jakie zostało u stołu. - Panowie, na Przodków! Tam czeka dama w opresji!

Lekko skłonił głowę i odszedł.

Vito i Elizabediath patrzyli na siebie osłupiali.

- Skąd...

- Annika! - wykrzyknął Finito.

- To pewne, więc się dowiemy...

- Wątpię. Ale zawsze możesz spróbować ją wypytać. Monck przypomniał sobie jak wystrojona Annika wyszła na calutką noc. A raniem przyniesiono pieniądze... Dodał dwa do dwóch i wyszło mu, że pytać nie będzie.

- Bodin miał rację - rzekł zmieniając temat. - Nie możemy już tracić ani chwili. I jeszcze jedno... Vito! Zapomnieliśmy o czymś! Wielki Goerth! Przecież sprzątnęliśmy Księżciu Nocy sprzed nosa nie lada gratkę.

- Lada chwila możemy mieć gości...

Skrzypnęły drzwi.

Vito sięgnął po ciężki kord wiszący od lat na ścianie, Monck runął pod stół po umazany jajeczną puginą.

Do izby weszła Annika. Nieco zmęczona, trochę zbladła, ale wesolutka.

- Moi panowie, jedziemy?

Vito starannie odwiesił broń na hak. I odparł:

- Ruszamy dziś przed wieczorem. Ale ty, moja droga, zostajesz.

Annika westchnęła. Jej Finitko bywał taki uparty. I niemądry.

* * *

Trzeciego dnia wyprawy już sto pięćdziesiąt staj dzieliło ich od Barrow. Drogi były marne, szczęściem pogoda dopisywała. Obywając się bez juczych koni i prowadząc ledwie jednego luzaka, mieli nadzieję utrzymać podobne tempo aż do Tuan Dagger. Co prawda Finito od dawna uprawiający podróże wyłącznie palcem po mapie narzekał na obolały zadek i starte uda, ale czynił to tylko pod nosem. Krygował się narzekać przed Annika, która siedziała w kulbace jakby nic innego nie robiła przez całe życie.

Nie było sposobu, by zmusić ją do pozostania w domu. Uznała, że jedyna w tym towarzystwie potrafi coś więcej, niż owinać rany płótnem. A pomoc medyczna mogła być konieczna w dalekiej i niebezpiecznej podróży. Finito nie umiał temu zaprzeczyć. Gdy zaś Monck szepnął, że lepiej nie pozostawiać Anniki samej ze względu na groźbę zemsty Wielkiego Goertha, Vito niechętnie wyraził zgodę. Pięcioro ludzi na zacnych rumakach, każdy z tęgim rapierem u boku i muszkietem w pogotowiu, wzbudziło szacunek u drobnych rzezimieszków - zostawili podróżników w spokoju. Tu zaś, głęboko w odludnych lasach pogórza Ahels tym bardziej nic im nie groziło.

Annika nudząc się okropnie zmuszała Moncka do opowieści o Francine. Nie mógł odmówić, choć wspomnienie bolało.

- To piękne stworzenie. Rude, postawne, tryskające radością życia. Niestęplanie żywiołowa i nieustępliwa, taką ją poznałem.

- Eee... ponoć pracowała w pewnym hmm... zakładzie... Vito mi powiedział.

Elizabethiath rzucił pełne wyrzutu spojrzenie na plecy jadącego przed nimi Vito, nadstawiającego zresztą bez żenady ucha.

- Prawda - odparł.

- Jakie to fascynujące! - szczerze biła z głosu Anniki.

„Niewiasty” - pomyślał Monck - „choćbym żył sto lat, nie pojmem ich”.

- Niedługo - zastrzegł. - Szczęściem mogłem wtedy pomóc w zebraniu srebra na sfinansowanie jej marzenia. Dążyła do niego uparcie. Wyobraź sobie: postanowiła założyć stadninę koni... niewiasta, szlachcianka - stadninę koni! Bo o jednym zapomniałem powiedzieć: Francine kocha wszystkie stworzenia. Ale konie uwielbia, a i one odwzajemniają jej uczucia. To prawie magia.

- Oryginalne dziewczę - rzekł Vito. - Chciałbym ją poznać...

- Mam nadzieję, że poznasz. A Francine i tak jest najnormalniejsza z całej rodziny Dalambertów. Same oryginały nie do podrobienia.

Zjechali z głównego traktu, rozpoznawalnego zresztą tylko po kamieniach ułożonych co dwa staje. Skręcili w dukt tak wąski, że mogli nim podążać ledwie parami.

Wszystko rozegrało się bardzo szybko. Zza drzew gruchnęła nierówna palba. Jeden z braci bliźniaków rozłożył ręce i spadł przez koński zad na ziemię. Nim jej dotknął, na leśną ścieżkę wyskoczyła wyjąca gromada obszarpańców. Licząc na zaskoczenie, byli pewni swego. Lecz się zawiedli. Monck wystrzelił z dwóch króć, Annika cisnęła nożem. Vito i drugi bliźniak dobyli rapierów, wspiąwszy konie poczęli kłóć

bez miłosierdzia. Na twarzy Finita błysnęła drapieżny uśmiech, a w oczach mignęło szaleństwo. Zeskoczył z kulbaki. Błyskawiczną paradą pokonał najbardziej odrażającego zbira. Wyciągając z jego piersi ociekające krwią ostrze rzekł:

„Pięknie będzie na tym świecie, gdy mój rapier draństwo zmiecie. ”

Tego już grasanci nie zdzierzyli, pokonani siłą oręża i poezji dali drapaka w gęstwinę.

Vito rozejrzał się wokół głodnym wzrokiem i... skoczył za nimi w uschłe paprocie.

- Finito! Do przenajświętszej cholery! Zwariowałeś?! - rycał za nim Monck. Na próżno.

Pełny lęku o całość skóry przyjaciela także zeskoczył z siodła, by biec z pomocą. Szczęściem bez potrzeby. W zaroślach ktoś zabełkotał niezrozumiale, zacharczał i umilkł. Nad te odgłosy wzbili się stentorowy baryton Vita:

„Pokrzykując, żeś jest człowiek, kłam zadajesz swoim przodkom, Ciebie knur wszeteczny splotził Sprośność czyniąc z czarcią ciotką! ”

Paprocie zaszuściły i na dukt wyszedł nieco zadyszany,- ale zadowolony Finito.

- Mały żyje? - zapytał chowając rapier do pochwy.

On tak. Ale ty zaraz przestaniesz, rymobójco jeden - wrzasnął Monck - mogli cię zgasić jak świecę! - A widząc minę Finita i przybraną przezeń pozę (piers wypięta, broda uniesiona wysoko) dodał szybko: - Żadnych wierszy! Obejrzyj trupy, może znajomi, i jedźmy stąd.

- O, do licha - rzuciła Annika. - Z mojej kobyłki nic nie będzie. Któryś bydlak zranił ją w nogę.

Vito obchodził poległych i mars na jego czole rósł. Pochylił się nad jednym, wciąż jeszcze drgającym na zlanym krwią igliwiu. Potem rzucił:

- Szybko! Annika, bierz luzaka, Gered zajmij się bratem.

Monck pomógł Annice przełożyć sakwy na siwka, a potem, ciężko westchnąwszy, wypalił prosto w ucho poranionej klaczy. Odjechali stępa i na dukcie zapanowała cisza przerywana chrapliwym rżeniem konającego. Wreszcie i ono umilkło. Las przyglądał się pobjowisku bez zdziwienia, niejedno wszak krył w swych ostępach...

Wieczorem stanęli na nocleg na dość obszernej polanie. Nikt nie mógł podejść do ogniska niezauważony, zwłaszcza że Gered siedział poza kręgiem blasku i oczyma przyzwyczajonymi do ciemności śledził każde poruszenie drzewa lub krzewu.

- Cóż pocznijemy z rannym? - Monck zafrasowany spoglądał na śpiącego Ridge'a.

- Nie ma mowy, by z nami podróżował - stwierdziła Annika. - Ma gorączkę, żebra będą się zrastać dwie dekady.

- Musimy go zostawić. O dzień drogi stąd, jeśli dobrze pamiętam, jest dwór Neweran. Ostatnia siedziba ludzka przed granicą Palenk. Zboczmy ledwie kilka staj z drogi, a Ridge będzie miał tam należyte staranie.

- Świetnie, Finito. Tak zrobimy. Podróże po mapie jednak się na coś przydadają.

- Zaraz przejdzie ci chęć do dowcipkowania. Ci ludzie na dukcie... to wysłańcy Wielkiego Goertha.

- Jesteś pewny?

- Byli zbyt czyści jak na grasantów kryjących się po leśnych komyszach. A jednego pamiętam, widziałem go „Pod Dębową Lagą”.

- Ciężko będzie... nawet jeżeli dotrzemy do grobowca, to z pościgiem na karku. Wprawdzie rozgromiliśmy tę grupę, ale co to dla Goertha poszczuć na nas choćby i stu bandziorów.

- Ehe - odchrząknęła Annika. - Nie jest tak źle. Żadną miarą nie mogli to być ludzie Goertha. Nie z nim mieliśmy parszywą okoliczność.

- Skąd wiesz? - Vito popatrzył zdziwiony na zapłonioną małżonkę.

- Parszywą okoliczność? - zdumiał się Monck. - Gdzie słyszałaś to powiedzonko?

- Hmm - zakłopotanie Anniki rosło. - To długa historia...

* * *

- Ależ to straszna historia, kochanieńka - powiedziała egzaltowanym głosem Yvone Clussi, małżonka miejskiego rajcy. - I powiadasz, że biedna czeka tam...

- Tak właśnie i nikt poza Vitem nie może jej pomóc. Bo tajemnica jest najważniejsza.

- Oczywiście. Te gadrińskie baronówny mają takie ciężkie życie... - migdałowe oczy niegdyś pięknej, a teraz wciąż jeszcze powabnej byłej komediantki zasnuła mgła rozmarzenia.

- Trzeba ją ratować!

- Trzeba. Ale... Pan Clussi to skąpiec. I plociuch. - Annika zwiesiła głowę.

- Tedy wszystko stracone.

- Chwileczkę. Potrzebne nam srebro. I ktoś, kto umie dotrzymać tajemnicy... - Yvonne zmarszczyła cienie, zrosnięte brwi. - Wstawaj! Idziemy! - rzuciła nagle.

- Zaraz! Gdzie mnie ciagniesz? - oszołomiona Annika zaczęła wyrywać się przyjaciółce.

- Mam zaproszenie na dziś, na teraz! Na bal w ogrodach księcia Barrow. Tolerują mnie tam ze względu na Agadira. Może i jest tylko kupcem, ale także i rajcą. Wyjechał do Clay w interesach. Świetnie! Podam cię za jego kuzynkę. Ubrana jesteś znakomicie. W sam raz na taką okazję... - Yvonne terkotała bez przerwy, równocześnie zmieniając w pośpiechu suknię. Wreszcie, zagniewana własną ślamazarnością, klasnęła w dłonie i wezwała dziewczkę służebną.

- Uczta. Rozumiem. Ale co to ma do...

- Och! Będzie tam mnóstwo wpływowych ludzi. A jeden... a jeden z nich jest uosobieniem tajemnicy. Zresztą sama zobaczysz!

Annika i Yvonne dotarły do Ogrodów Księcia mocno spóźnione. Ale też i obyczaje panujące na przyjęciach plenerowych były dość swobodne. Straże widząc dwie damy nie czyniły wstrętów. Majordomus zaś poznawszy panią Clussi poprowadził je z uśmiechem na ustach w głąb cienistych alejek. Mijali grupki spacerujących, pięknie odzianych ludzi, twarze niektórych skrywały maseczki. W ciepłych wczesnojesiennych powiewach wiatru chwiały się na gałęziach drzew kolorowe lampiony. Migotanie i błyski wraz ze stłumionymi dźwiękami muzyki tworzyły zaprawdę czarowny nastrój.

Dotarli wreszcie do placu wysypanego drobnym białym żwirem, na którym stały ławy uginające się od jadła i napojów. Tu też rozmawiało i piło mrowie ludzi, zapewne najprzedniejszej szlachty litterneńskiej.

- Znakomicie, że nie jesteśmy o czasie - rzekła Yvonne. - Nikt nie zwrócił na nas uwagi i nie musimy nikomu cię przedstawiać. Zjedz coś, kochanieńka, wypij, a ja zapoluję na naszego człowieka.

Annika nie miała zamiaru jeść. Ale z chęcią przyjęła pucharek zimnego białego wina z Dorelan. Poczęła obserwować gości i z ulgą stwierdziła, że nie prezentuje się gorzej od towarzystwa. Vito niegdyś wykosztował się na tę suknię, płacąc kwotę wprost oszałamiającą, a ona dotąd jej nie nosiła...

Uwagę Niki zwrócił dziwny, przygarbiony mocno starzec. Niechlujny, z siwą brodą krążył wokół stołów. W lewej dłoni dzierżył dzban, z którego popijał niemal bezustannie. Od czasu do czasu łapał kawał kurczęcia lub inny smakołyk i pakował do ust, niemal się dławiąc. Lub też chował do kieszeni atłasowego chałata, nie bacząc na plamiące strój sosy.

- Jesteś! - usłyszała głos przyjaciółki - pozwól, że ci przedstawię: kawaler L'Grand og Noir.

Ubrany w szarości i czernie obszyte bogatymi koronkami, stał przed nią mąż lat około czterdziestu. Twarz miał przystojną, nieco zbyt grubo ciosaną. Na wydatnych wargach igrał zagadkowy uśmiech.

- Pani... - skłonił głowę.

- Moi drodzy, widzę księcia, pójdę złożyć mu swoje uszanowanie - rzuciła pani Clussi i już jej nie było.

- Pono dręczą cię jakieś kłopoty... piękna nieznajoma - rzekł nieco poufale og Noir.

A w Annice obudziła się nieufność.

- Być może, być może, nadto śmiały kawalerze. Lecz rozważyć muszę, czy mądrze będzie zawierzyć je ot tak komuś, kto nosi fałszywe miano...

Og Noir uniósł wysoko brwi. Uśmiech zniknął z warg, lecz nie z oczu.

- Rozważaj pani, ale szybko. Długo tu nie zabawię. Skłonił się i odszedł, potrącając małego siwego człowieczka w wyplamionym chałacie.

- O ścierwiec ponury! Farbowany gadrińczyk! Pani, racz na niego uważać, nigdy nie wiadomo z kim parszywa okoliczność - rzekł siwobrody, podniósł z trawnika ociekającego oliwą śledzia i schowawszy z lekka upiaszczony kasek za pazuchę, ruszył ku beczkom wina.

Paradoksalnie słowa starca spowodowały, że wątpliwości zniknęły. Podejrzenie, jakie podjęła, napełniało ją nie przerażeniem, a wręcz zachwytem. Ruszyła na poszukiwania. Znalazła „farbowanego gadrińczyka” w ustronnej części ogrodu pośród romantycznych ruin, zapewne specjalnie tu wzniesionych.

- Znam gadriński - powiedziała bez wstępów. - „Wielki Czarny” lub też „Wielki z Ciemności” to dość banalny pseudonim.

- Cóż, litterneńcy nie grzeszą upodobaniem do zagadek. Poza tobą, pani. Uważam też, że L'Grand og Noir brzmi lepiej niż Wielki jak...

- Goerth!

Co innego domysł, a co innego pewność. Annika poczuła taką miękkość kolan, że niemal upadła na kamienną ławeczkę. Książę Nocy przysiadł obok.

- Ależ więcej opanowania, moja pani. To prawda, jestem tym Wielkim Goerthem. Ale minęło już szesnaście stuleci, odkąd Przodkowie nasi przebyli Barren i osiedli w Ocalonej Krainie. Dawno też przeminęły wieki Ciemne. Te dłonie - uniósł silne ręce - są czyste. No, prawie czyste. Naprawdę. Prowadzę rozliczne interesy... czasem trzeba użyć noża lub stryka. Rzadko! - podkreślił. - Większość opowieści o mnie to legendy wymyślane specjalnie dla trzymania w ryzach motłochu.

Annice podczas tej przemowy wrócił spokój.

- Lecz... czy mogę ci zaufać? Panie?

- Pani Clussi ufa. Pomogłem jej parę razy - odparł tonem, jakim zwykle się mówi do dzieci.

- W istocie. Yvonne ręczyła za pana. Ale mój problem jest nader delikatnej natury...

- Słucham.

- Dotyczy grobowca Tuan Dagger... - Annika opowiedziała o planowanej ekspedycji ratunkowej. I o kłopotach z tym związanych. Mówiła szybko, ze spuszczoną głową.

Wielki Goerth wysłuchał w milczeniu, potem zaś rzekł:

- Hmm... proponowano mi przedmioty z grobowca... ale do transakcji nie doszło.

- Odebraliśmy złodziejowi naszą własność - śmiało spojrzała w szare oczy księcia zbrodni.

- Tak bywa w interesach... ale ciekawym, co mnie może powstrzymać przed przejęciem tychże cennych staroci? Skoro już wiem, gdzie są?

Żartobliwy ton nie oszukał Anniki. Człowiek ten był drapieżnikiem w miejskiej dżungli, od słowa do czynu zapewne nie było u niego daleko.

- I coż byś z tym zrobił, kawalerze? - rzuciła nieco drwiąco, choć serce jej biło na trwogę. - Posłał do grobowca kretynów w rodzaju Phila Rope'a?

- Tss! Bez nazwisk, proszę.

- Jakoś nie wierzę, żeby te dwa przedmioty pochodzące z Tuan Dagger tak cię, panie, interesowały. Raczej chodzi o cały grobowiec... Nieprawdaż? A kto spenetruje go lepiej od mistrza grabarskiego i mego małżonka, parającego się poznawaniem dawnych dziejów, wojownika, co niejedno w życiu widział?

- Znajduję w tym jakąś prawdę... Ale nie jestem do końca przekonany - stwierdził Wielki Goerth i położył dłoń na ręce Anniki.

Nie strząsnęła jej.

* * *

- No i przekonywałam go, przekonywałam...

- Skończę wreszcie, niewiasto - warknął Vito.

- Ty skończ mi przerywać! Co miały znaczyć te ciągłe pokrzykiwania? Aha. Jeszcze jedno. Wielki Goerth zaliczył mnie do twego majątku. Jeżeli nie oddamy srebra... będę jego własnością.

Finito rzucił ciężkim słowem i zamilkł. Ostatnia rewelacja naprawdę go zabolęła.

Oszołomiony Monck dopiero teraz odzyskał głos:

- Na Przodków! Ten siwy pijaczyna na balu to ni mniej, ni więcej tylko Mattheus Dalambert! Ojciec Francine! Ghelogu! Wdaliśmy się w awanturę aż pulsującą od czarów, a ojczulek Francine, mag! nie ma o niczym pojęcia. Był w zasięgu ręki... do licha... - umilkł, rozżalony. Zaraz jednak uniósł głowę: - A napad? Jeżeli nie Goerth, kto mógł... ach, już wiem! Ten prostak, Rope!

Vito pokiwał głową.

- To tłumaczy wyjątkową nieudolność napaści. Nasz zajączek nie pogodził się z przegraną.

- Mam obawy, że nawet taka nauczka nie da mu nic do myślenia. Głupiec! - powiedział grabarz.

- Czyli to nie koniec kłopotów. Ale z Philem Zajączkiem sobie poradzimy...

- Swoją drogą, Anniko, przesadziłaś nieco, Francine jest zacnym dziewczątkiem. Ale baronowa?

- Phi! Musiałam zrobić wrażenie na Yvonne. Ona jest taka romantyczna... poza tym naprawdę niewiele o Francine wiedziałam.

- Naprawię to. Ale nie teraz. Czas spać. Zmiana warty o północy. Vito, zgłaszasz się na ochotnika.

- Niech ci będzie. Dobrych snów, grabarzu. Choć nie wiem, czy usniesz. Mistrz Cechu ratujący była kochankę za pieniądze mistrza zbrodni, profanujący przy okazji grobowiec maga... jest o czym myśleć.

- Błagaj Przodków, by się udało. Sam rozumiesz, inaczej Goerth zajmie wszystkie twoje dobra.

Wypuściwszy tę zatrutą strzałę Monck nakrył głowę derką. I słusznie. Uniknął solidnej strugi piwa. Choć nie steku przekleństw.

* * *

Dotarli do Neveran wieczorem następnego dnia mocno zdrożeni i w nie najlepszych humorach. Oto na dwie staje przed dworem natknęli się na ludzkie szczątki. Ciała leżały na dukcie. W kawałkach. Nie potrafili się nawet doliczyć, ile było ofiar. Finito obejrzawszy zwłoki doszedł do wniosku, iż porozdzierane trupy należą do niedobitków bandy Rope'a.

- Chcieli ponowić zasadzkę. O, widzicie tego? - wskazał pozbawiony rąk, nóg i głowy zewłok. -Poznaję go po łać na tyłku. Nie widzę jednak szefa. To głupiec z wielkim fartem... chyba że leży w krzakach.

- Ale co ich dopadło... ? - Pytanie Anniki zawisło w powietrzu.

Dalsza podróż minęła bez przygód, ale nerwy mieli napięte do granic, toteż z ulgą odetchnęli na widok polany i otoczonej palisadą sadyby. Gospodarz, z początku nieufny, zobaczywszy wśród przybyłych niewiastę i mile polectany gładką mową Finita okazał się bardzo gościnny. Żył na odludziu z darów lasu. Zwłaszcza zaś korzystał na ostatniej modzie - każdy szlachcic w Litternie, a jeszcze bardziej w Gadrin chciał mieć w ogrodzie choć jednego drapieżnika. Tedy łowiono rysie, dziki oraz inne zwierzaki, sprzedając je na pniu. Rad przybyłym - zgodził się kurować Ridge'a, a potem (gdyby nie wrócili) odesłać rannego do Barrow. Wieczerali w naprawdę miłej atmosferze, szczęśliwi z pobytu pod przyjaznym dachem. Annika oczywiście nie odmówiła sobie przyjemności uwodzenia posuniętego mocno w latach szlachcica, gdy więc nieco zakurzyło mu się z czupryny, rzekł:

- Nie ma u mnie rozrywek dla szlachetnie rodzonych dam, ale chciałbym ucieszyć panią widokiem misia, któregom złapał onegdaj.

- Och, cudnie - klasnęła w dłonie Annika, naprawdę zainteresowana.

Ciemno już było całkiem, gospodarz wziął tedy pochodnię i poprowadził gości do szopy.

- Musiałem zamknąć go w klatce, bo strasznie kąsał, pachotka mi nawet poranił.

Stali patrząc na skulone za kratami zwierzę o złoto-brązowej sierści, przysłaniające jakże ludzkim gestem olśnione oczy.

- Misiu maleńki, jakiś ty śliczny - zaszczębiotała Annika i nim ktokolwiek zdążył zareagować, włożyła rękę do klatki, by pogłaskać zwierzaka.

Stwór poderwał się na mocne łapy, wydał wibrujący ryk i skoczył ku białej dłoni. Paszczę rozwarł niewiarygodnie szeroko. Lśniły w niej ostre, długie kły.

Monck bez namysłu chwycił niewiastę za warkocz i szarpnął w tył. Zęby potwora zwarły się w powietrzu chybiając drobne palce o włos.

Gdy Annika przestała krzyczeć i umilkł ryk rozczarowanego drapieżnika, Finito rzekł:

- Rozumiesz teraz, Monck, dlaczego nie chciałem brać jej na wyprawę?

Grabarz skinął głową.

- Miałaś dużo szczęścia, moja pani, i pański pachol także... to nie jest żaden niedźwiedź. Trzyma pan w klatce młode kota Grakh.

- Co?!

Moncka nie dziwiło zaskoczenie, jakie ogarnęło gospodarza i przyjaciół. Kot Grakh - legendarny stwór łączący cechy niedźwiedzia i tygrysa, obdarzony niemal ludzkim umysłem - dawno już wyginał. A przynajmniej tak sądzono...

- Złapaliśmy go w sieć, gdy spał.

- Dorosły zabiłby wszystkich, naprawdę szczęście ci sprzyja, panie gospodarzu. Także i dlatego, że zwierz wart jest tyle srebra, ile waży. A może i więcej.

- Tak powiadacie?

Oczywiście spełniono kilka toastów za szczęście i już pod dobrą datą zaczęto wybierać się do komnat.

Wtem zza palisady dobiegł przeraźliwy, wibrujący ryk. Tak głośny i nabrzmiwały wściekłą żądzą krwi, że wszyscy na moment zastygli w przerażeniu. Gospodarz otrzeźwiał pierwszy - złapawszy rusznicę opartą o ścianę w sieni, wyskoczył wołając na strażników.

Wrócił po dłuższej chwili znacznie uspokojony.

- Potwór jakowys pęta się wokół. Mam paru ludzi...może nam o... - tu pokazał znanym gestem i zmieszał się napotkawszy spojrzenie Anniki.- Próbował przesadzić częstokół, ale dość jest wysoki. Zapolujemy ...

Przerwał mu ponowny niesamowity, niemal ludzki wrzask.

- Lepiej nie, gospodarzu - rzekł powoli Finito. - Tam na zewnątrz czeka mama kociaka, któregoście złapali. Wyjść poza palisadę... nie radzę.

- Pewniście? Widzę, że tak. Cóż, za parę dni wracają moi myśliwi. Damy radę...

- Nie możemy tak długo czekać. Wypuście młode, szlachetny panie. Kocica odejdzie... miejmy nadzieję.

Stary szlachcic popatrzył nie rozumiejąco na Vita.

- Ale... panie. Mówiliście, że to bogactwo, a u mnie z gotowizną zawsze krucho...

Vito porozumiał się wzrokiem z Monckiem. Ten pokiwał głową. Finito opowiedział gospodarzowi mocno okrojona, ale prawdziwą historię wyprawy.

- Wypuszczę potwora - rzekł szlachcic, a na jego pooranej zmarszczkami twarzy nie odbił się nawet drobny grymas żalu.

- Wiecie, panie gospodarzu, nie będziemy mogli wam zwrócić...

- Dość. Tam czeka młódka, która bez ochyby zginie. Dziedzice na Neveran nigdy nie odmawiali pomocy szlachetnym damom. Jeżeli uznacie, że trzeba, przydam wam pachotków albo i sam siędnę na koń.

Annika uśmiechnęła się pięknie, w jej oczach błysnęła szacunek. Monck uznał, że dla tego jednego spojrzenia stary szlachcic byłby gotów zbrojnie najechać na Palenk.

Nie zwłóczyli dłużej. Dwa długie drągi przesunęli przez kraty klatki i z pomocą pachotków dźwignęli ją ku palisadzie. Z trudem przerzucili więzienie stwora przez częstokół. Klatka uderzyła o ziemię. Kilka prętów odpadło, starczyło: kot Grakh wyrwał się na zewnątrz -złotobrazowa błyskawica o pałających czerwieni ślepiach.

Noc przeszła spokojnie, a rankiem pachotkowie odnaleźli ślady.

Koty Grakh odeszły.

- Ale nocami bramę trzymajcie zawartą - przestrzegł na pożegnanie Finito. - Potwory bywają pamiętliwe...

* * *

Dziewiątego dnia od wyjazdu z Barrow stanęli na przełęczy Vari. Z dawna już omijana - znaleziono znacznie łatwiejsze przejścia przez masyw Achels -stanowiła ostami punkt orientacyjny przed Tuan Dagger.

- Gdzie teraz?

- Tamta dolina - wskazała dłonią Gered. - Przejedziemy ją, potem będzie skalna brama. Dalej mała ślepa kotlinka...

- Naprzód - powiedział półgłosem Monck. Ruszyli naprzeciw morzu mgieł, wnet gęste opary pochłonęły ich całkiem. Znikli, jak wielu przed nimi, dążąc do przeklętego grobowca.

* * *

Kotlinka była rzeczywiście niewielka. Dno porośło ostrą turzycą, mech i kępy drobnych czerwonych kwiatków pokrywały ściany. Oprócz jednej - wznoszącej się naprzeciw skalnej bramy.

Ta ściana, czarna i urwista, naznaczona rdzawymi plamami, zdawała się sięgać nieba.

Podjechali bliżej i Monck rzucił:

- Z koni. Tu przenocujemy.

- Przenocujemy? Grabarzu, Francine czeka! Widać stąd bramę! Czasu szkoda!

Monck zlął z konia. Z ulgą rozprostował grzbiet.

- Gered, czy Francine weszła bramą?

-Nie, przecież ...

- Otóż właśnie, Anniko. Nie po to gnałem przez dwieście staj, by dać się zabić tuż przed celem. Brama zapewne jest pułapką. Od tej chwili zamierzam wszystko czynić, pomyślawszy wprzód dwa razy. Nie zmarnuję szansy ocalenia dziewczyny...

Annika w milczeniu przyjęła reprimendę. Zeskoczyła z konia i chwyciwszy kociętk poszła do strumienia, jaki szumiął opodal.

Rozbili obóz. Choć słońce zaszło za szczyty, kryjąc kotlinę w głębokim cieniu, niebo było wciąż jasne. Do zmroku pozostało jeszcze sporo czasu. Monck zdjął podróżny strój, nałożył grabarski uniform, przybrudzony i podniszczony, na szyję założył amulet. Zerknął na mapkę, a potem skinął na Gereda:

- Chodź ze mną.

- Vito - rzekł na odchodnym - to tylko wstępny zwiad. Wejdziemy jutro rano. Przemyśl, co powinniśmy wziąć, a co można będzie zostawić, i zastanów się... Annika chyba powinna zostać z Geredem i końmi. Finito skinął głową, zafrasowany.

- Chyba trzeba ją będzie przykuć - odparł i począł rozwiązywać juki.

Elizabeth i Gered podeszli pod samą ścianę. Nie zaglądając w bramę, postąpili sto kroków na lewo od niej. Tu znaleźli wykute w skale schody wiodące pionowo w górę. Pięćdziesiąt stopni zaprowadziło ich na małą platformę w jednej czwartej wysokości urwiska. Gered został na schodkach, by umożliwić grabarzowi dokładne oględziny wejścia do Tuan Dagger. Niewielka furta ze zrudziałego metalu miała pośrodku otwór. Monck dostrzegł wyrytą w żelazie klęczącą postać. Szpara wypadała dokładnie na tle zarysu piersi.

- Nie podoba mi się to - mruknął.

- Co takiego, panie?

- Ach nic, Gered.

- Panie, tu, na tej platformie znaleźliśmy z panią Francine dwa szkielety.

- Ooo! Rabusie?

- Nie. Chyba nie. Siedzieli, szkielety okrywały zbroje.

- Strażnicy - skostatował Monck. - Co z nimi zrobiliście?

- Rozpadli się w pył, gdy otworzyliśmy furtę. Zebraliśmy prochy i pochowaliśmy u wejścia na schody.

- Dobrze. - Monck obwiodł palcami portal, pokręcił głową, skrzywiony. - Wracamy, nie tu dzisiaj nie wystoiemy. A powiedz, gdzie był otwór, przez który Francine wyrzuciła zawiniątko?

Nad nami. Jakies dwadzieścia sążni. Mój brat omal nie oberwał nim w głowę.

We wskazanym miejscu Monck - balansując skraj tarasu - dostrzegł rysę na skale.

- Cóż. Wracamy.

Gdy dotarli do obozowiska, zrobiło się już prawie całkiem ciemno. Lodowaty chłód sprawił, że ognisko rozpalili większe, niżby ostrożność nakazywała. Monck w milczeniu zjadł polewkę podaną przez Annikę.

- I cóż? - nie wytrzymał Vito.

- Na wejściu nie ma śladu znaków grabarza.

- Co?

- Ktoś przecież pochował maga. Winien zostawić znaki dla wtajemniczonych. W ostateczności choćby swą cechę.

- Może czas...

- Zdarzało mi się nie odczytać zatartych znaków, ale zawsze były... tu nie ma śladu. To po pierwsze. A po drugie, by otworzyć drzwi, trzeba wbić sztylet przekazany nam przez Francine w postać wyrytą na furcie.

- Ach, więc sztylet jest kluczem...

- I każdy, kto wkracza do Tuan Dagger, składa rytualną ofiarę. Staje się przymusowym uczestnikiem jakichś obrzędów. Jakich? Nie wiem. A po trzecie mapka. Przedstawia ścianę ziejącą licznymi otworami, z których jeden jest wejściem. A ta - Monck machnął ku skrytemu w mroku urwisku - zupełnie nie odpowiada rysunkowi. - Wniosek?

- Idąc tropami Francine znaleźliśmy wejście. Ale do czego?

- Może Tuan Dagger wcale nie jest grobowcem - strzeliła Annika.

- O! Możesz mieć rację, piękna pani. Ale dlaczego ta nieszczęsna dziewczka przekazała nam fałszywą mapkę?

Zamilkli.

- Nie zmieniłeś zamiaru? Wchodzimy jutro?

- Tak. Tuż po świcie. Jakie znaczenie ma, czy znaleźliśmy Tuan Dagger, czy nie? Francine jest w środku i czeka ocalenia.

- Czy mógłbyś coś jeszcze o niej opowiedzieć? Skoro jutro mamy ryzykować życie?

- Anniko, chciałbym, żebyś została...

- Nie. Mów o Francine.

Monck się poddał. Przyjął kubek, grzanego wina. Odetchnął, zapatrzony w ciemność.

- Francine na pewno nie jest baronówną. Choć Dalambertowie to ponoć stara herbowa szlachta. Od dawna już zresztą wrosła w mieszczańskie tradycje... Przeżyłem z nimi szalone przygody... nie bardzo mogę o nich mówić. W każdym razie wzajem ratowaliśmy sobie życie i... życie innych ludzi.

- Są twoimi przyjaciółmi... Monck zaśmiał się krótko.

Gdybyż to było takie proste. Czy jest twoim przyjacielem druh, co walczy i krwawi obok ciebie w szeregu? Wtedy dasz za niego głowę, ale później, po bitwie, różnie to bywa. Dalambertowie mogą mnie oskarżać o utratę starszej siostry Francine, choć tak naprawdę nie było w tym mojej winy. Zresztą ona powróci za kilka lat - dodał niejasno.

- A co zaszło, że ty i Francine się rozstaliście?

- Cóż, była bardzo młoda. Prawie dziecko. Nie traktowałem tego zauroczenia poważnie. Ona, jak się okazało, także nie. Miała narzeczonego: solidnego stajennego imieniem... - Monck urwał. A potem wrzasnął: - Gered!

- Panie?

- Co z Marcelem? Towarzyszył wam?

- Nie. Dawno już go nie widziałem. Wyjechał będzie z kwartał temu... Zaraz potem, jak stado powaliła zaraza.

- No tak, no tak... - Monck trząśnął głową jak paralytyk. - Wszystko jasne.

- Mówże! - Finito stracił cierpliwość.

- Stadnina wpadła w kłopoty. Narzeczony Francine wszedł w posiadanie jakichś wieści o Tuan Dagger. Może znalazł je w rupieciach starego Dalamberta. Krótko mówiąc chciał okraść grób, by ratować marzenie Francine. Kiedy nie wrócił, dziewczka ruszyła mu z odsieczą...

- Musiały być dwa klucze - mruknął Finito. - Ale taki sobie stajenny wyrusza, by rabować Tuan Dagger?

- Młodość usprawiedliwia różne szaleństwa. Zresztą... po tej krwawej historii, w której uczestniczył, Marcel zmienił się bardzo. Tak bardzo, że podarowałem Francine potężny rodowy amulet chroniący od złego... Gered?

- Pani nosi go zawsze. Nawet - chłopak pokraśniał - w kąpielu.

- Ale że też ojciec Francine tak na wszystko jej pozwala! - rozłoszczona Annika cisnęła gałąź w płomienie.

- Anniko, ty i Fran charaktery macie podobne. Zakazy was się nie imają. A poza tym Mattheus zaginał dobry rok temu. Widać miał dość swej małżonki, szalonych dzieci, wierzycieli dręczących dniem i nocą. Dopiero ty odkryłaś, gdzie ma kryjówkę. Przodkowie! Gdyby wiedział, co dzieje się z jego córką! Mielibyśmy potężnego sojusznika.

- A jeżeli nie zdołamy spenetrować Tuan Dagger? - wyszeptwała Annika.

- Uprosiłem pana na Neveran, by tak prędko, jak będzie mógł, wysłał gońca do Yvonne Clussi z listem dla Dalamberta. List powinien dotrzeć, skoro Mattheus przebywa na książęcym dworze.

- Mag będzie tu za trzy dekady...

- Może. To w końcu stary człowiek. A my ruszamy jutro skoro świt.

Monck zmilczał o tym, iż w liście upoważnił Dalamberta, by ten korzystając z magii ściągnął do pomocy Katrinę thir Harrane biorącą udział w konklawe kapłanek Słonecznej Etiny.

Pierwszym od dwustu czterdziestu lat. Jego ukochana określiła zjazd jako najważniejsze wydarzenie w swym życiu. A on nie zawahał się go zakłócić.

Dla Francine.

* * *

Szarość ledwie zgasła gwiazdy, gdy Annika, Finito i Monck stoczyli się na platformie u furty do Tuan Dagger. Gered tymczasem związał obóz, by odprowadzić konie do sąsiedniej doliny. Tam, skryty w jednej z licznych jaskiń, winien czekać powrotu ratowników. Jednakże nie dłużej niż dekadę. Potem miał nakazany powrót do Neveran i odnalezienie Mattheusa Dalamberta.

Finito spodziewał się ceremonii, mruczenia zaklęć i dziwacznych gestów, Monck tymczasem dobył starożytnego sztyletu i wraził go w otwór. Potem zaś pchnął furkę. Nie skrzypnęła otwierając drogę w ciemność. Eliabediath powstrzymał Annikę, zapalił latarnię i pierwszy wkroczył do mrocznego korytarza. Powietrze było stęchłe, lecz nie tak, by utrudniać oddychanie.

- Idziemy - rzekł cicho i umilkł, bo słowo wróciło doń gromowym echem po wielokroć, ginąc wreszcie gdzieś w niezmiierzonych głębiach.

- To tyle, jeśli chodzi o zaskoczenie - zaszeptał mu do ucha Finito.

Korytarz nie był zbyt ciasny, a rozświetlony trzema latarniami sprawiał wręcz wrażenie schludności.. Spąg czysty, wysypany żwirem, ściany suche, żadnego robactwa. Niemniej jednak wspomnienie echa i głębin, z jakich wracało, budziło na grzbiecie niemiły dreszcz. Po kilkudziesięciu krokach doszli do miejsca, gdzie korytarz lekko się rozszerzał i dzielił na dwie odnogi. Jedna dążyła stromo w górę. Druga, węższa, opadała dość łagodnie. Monck bez wahania wybrał drogę pod górę. Finitowie pojęli jego intencję. Elizabediath chciał rozpocząć poszukiwania od miejsca opisywanego przez Francine w liście. Maszerowali długo, słysząc tylko szelest osypującego się spod stóp żwiru i swoje coraz cięższe oddechy. Wreszcie dotarli do komory, okrągłej i zwieńczonej dość niskim kopulastym sufitem. Czarną ścianę naprzeciw stromego tunelu przecinała jaśniejsza blizna.

- To tu - szepnął Monck, by nie wzbudzić echa. Lecz słowa zabrzmiały głucho, niewyraźnie. Śmieiej powtórzył: - To tu. O! - dodał pochylając się. Podniósł z podłogi (bo była tu starannie obrobiona kamienna podłoga) kawałek lnianej szmatki. Uniósł ją do nosa. Ledwie wyczuwalny aromat miodu wywołał w umyśle Elizabediatha obraz młodego dziewczęcia siedzącego na zimnym kamieniu i pałaszującego ciasto z bakaliami.

- Francine uwielbia słodczyce - rzekł wyjaśniająco, przekazując szmatkę Annice.

- Dobrze. Więc jadła tu i pisała. Ale dokąd poszła? Wróciła czy... - Vito uniósł latarnię, wyrwijąc z ciemności otwór.

- Tędy - skinął głową grabarz. - Coś nadchodziło z dołu. Uciekła tędy... zresztą... posłuchajcie!

W ogromnej ciszy, jaka zapadła, ze stromego tunelu dobiegł ich odgłos jakby ogromnych bosych stóp plaskających o kamienie.

- Co...

- Cii... - Monck ścisnął Annikę za ramię.

- W skupieniu nadśluchiwał, by wreszcie powiedzieć:

- Zauważyliście? Kroki wcale się nie przybliżają! Istotnie, coś przebierało wielkimi platfusami stojąc w miejscu. Słuchali jeszcze chwilę. Wreszcie Vito rozjaśnił się cały.

- Wiem, co słyszemy. Gdzieś na skałę spada woda...

- A niesamowite echo wzmacnia dźwięk - dodał Monck. - Nie sędzę, że słyhać to właśnie tutaj przypadkowo. Idziemy dalej.

Ruszyli korytarzem - nie różnił się wiele od poprzedniego, tyle że wypełniał go zatęchły odór. Monck pociągnął nosem, znał tę woń. Szedł teraz wolniej, ostrożniej. Unosił latarnię wysoko, by widzieć jak najdalej, a mimo to potknął się. Z trudem utrzymał równowagę.

- Co tam?

Monck oświetlił ścianę. W niszy spoczywał szkielet przybrany w resztki dziwacznej, mieniącej się złotem zbroi. Czaszkę skrytą w wysokim hełmie obciągała wyschła na pergamin skóra.

- Jednak grobowiec! Czy to... Tuan Dagger?

- To ten mag? - Annika jak urzeczona wpatrywała się w przedwieczne szczątki.

W odpowiedzi grabarz uniósł latarnię ponad głowę. Światło wyrwało z mroku kolejne nisze z podobnie przybranymi zwłokami.

- Aremanowie - stwierdził krótko.

- No jasne.

- Kim są... byli ci ludzie? - Annika nie bardzo przejmowała się majestatem śmierci.

- Zanim Litterneńcy, Gadrińcy i inne ludy przebyły Złe Ziemie, Ocaloną Krainę zamieszkiwali Aremanowie. Ostatki ich wyniszczyli Wilkowie z Palenk. Jakies trzy, cztery stulecia temu. Ci tutaj to pewnie władcy. Kto wie, ile wieków spoczywają w Tuan Dagger. Wygląda na to, że mag skorzystał z istniejącego już grobowca.

- Czas nagli - rzekł nachmurzony Monck. Aremanowie może i wyginęli, ale byli tajemniczym ludem będącym za pan brat z mrocznymi mocami. Kogo lub co pozostawili na straży niewątpliwie dla nich świętego miejsca?

Vito pochylił się, by ująć zdobiony miecz. Grabarz chwycił jego dłoń w stalowy uścisk.

- Niczego nie dotykaj!

Nieco urażony Finito wzruszył ramionami i rzekł:

- Chciałem tylko obejrzeć... - zamilkł, uderzony nagłą myślą: - Monck... a może, gdzieś tu... leży Francine?

- Nie - odparł zdecydowanie grabarz. - Wszyscy zmarli spoczywają tutaj od wieków. Wyczułbym świeże... ciało.

Szli w ciemnościach, tunel nie miał odgałęzień, był pusty i suchy. Odnieśli wrażenie, że lekko opada, zakrzywiając się w ogromnej spirali. Cały czas towarzyszyło im odległe, jakże podobne do odgłosu stąpania płaskanie wody. Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie korytarz nieco się rozszerzał. Vito rzucił worek z zapasami na skałę.

- Mam dość, na zewnątrz już pewnie zmierzcha, a od rana nic nie miałem w gębie!

Monck także z ulgą przysiadł na niesionym przez siebie pakunku.

- Tu przenocujemy. Nic nie pomożemy Francine, jeżeli znajdziemy ją ślaniając się na nogach.

- Podziwiam dziewczeczkę - rzekła pośród krzątania Annika. - Pomyślcie, szła sama!

- Miłość! Znać kocha tego chłopca bardziej, niż sądziłem - odparł z krzywym uśmiechem Monck.

Posnęli wkrótce, ustalwszy wprawdzie kolejność wart.

Grabarz ocknął się rankiem, a w każdym razie sądził, że gdzieś nad górami świeciło już słońce.

Stróżować powinien Vito - lecz oparty o worki spał słodko skłoniwszy głowę na piersi. Wściekły Elizabediath szarpnął śpiocha za ramię.

- Do licha! - Monck spojrzał na Annikę i zdrętwiał. Na piersi niewiasty leżała wykuta w żelazie róża. Wielkości pół dłoni, misternie odwzorowana i bardzo, ale to bardzo stara.

- Niko! - Vito rzucił się ku swej małżonce.

- Dlaczego krzyczysz? - rozespana Annika usiadła i róża spadła na skałę. - O, a co to?

- Finito, twoja drzemka mogła kosztować nas życie.

- Ale... co ma znaczyć...?

- Oprócz nas jest tu jeszcze ktoś żywy. Albo... - dodał - niezupełnie umarły.

Cały dzień szli, znacznie jednak wolniej i ostrożniej. Korytarz miał liczne odnogi, szczęściem wąskie i trudno dostępne. Trop Francine z pewnością prowadził głównym tunelem. Ze ścian kapała woda, twarze owiewały im wilgotne podmuchy, chwilami tak silne, że niemal gasiły latarnię. Zupełnym przypadkiem znaleźli podartą szmatkę - Monck rozpoznał chusteczkę. Resztki monogramu nie pozostawiały wątpliwości, czyją była własnością.

Wreszcie, mocno już zmordowani, dotarli do przestronnej sali. Gdzieś z przeciwnego jej końca biło mętne światło załamujące się w wielkich kolumnach stalaktytów.

Monck poczuł na ramieniu dotknięcie.

- O co chodzi, Fini... - rzekł i urwał. Vito i Annika szli przecież przed nim. Spojrzał ostrożnie przez ramię. I doznał wrażenia, jakby ciało skuł mu luty mróz.

To był wojownik. Nie cień i nie szkielet. A przecież żywym nazwać go było nie sposób. Nosił skórzaną, nabijaną płytkami z brązu zbroję. Głowę chronił dziwaczny hełm - skórzany kołpak wzmocniony naszytymi raz koło razu kłami dzika. Twarz sina, beznosa. Oczy pozbawione powiek lśniły mleczną bielą. Szczerniała dłoń o trzech palcach zaciskała się na ramieniu grabarza.

Krzyk Anniki przebudził Moncka z osłupienia.

Strząsnął upiorną rękę i odstąpił o krok. Mieszkaniec grobowca dobył miecza o krótkim, zakrzywionym ostrzu. Potem zaś wysunął przed siebie pustą, okaleczoną dłoń.

Grabarz zrozumiał. Ujął starożytny sztylet otrzymany od Francine, uniósł go powoli, by z powrotem zatknąć za pas. Potem zaś schwycił nadgarstek nieumarłego strażnika. Z ust wyrwał się Monckowi zduszony okrzyk. Przez umysł przepłynął strumień obrazów tak realnych i plastycznych, że nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Grabarz puścił rękę Strażnika. Odetchnął głęboko i powiedział: - Anniko... Vito... Musimy się naradzić.

Strażnik patrzył na ostrożnie podchodzących ludzi spokojnie. Gdy jednak zbliżyła się Annika, wykonał gwałtowny ruch. Jakby dziwaczny pokłon. Spłoszona niewiasta oddała ukłon - jak na nią wyjątkowo niezgrabnie.

- To...

- Strażnik, moi drodzy. Strażnik nekropolii Aremanów. Tak jak podejrzewałem, nóż wbity w sylwetkę wyrytą na drzwiach był sygnałem do rozpoczęcia rytuału...

- Jakiego?

- Oczywiście pogrzebowego. Finito, wstęp do tych podziemi mają tylko uczestnicy pochówków. Raz rozpoczęta ceremonia musi być ukończona.

- Jak to?

-Ktoś powinien zostać pogrzebany. Inaczej Strażnik uzna „gości” za intruzów i odpowiednio potraktuje...

- Monck! Spróbujmy go zniszczyć!

- Nie, Finito. Nawet gdybyśmy tego dokonali... to nic nie da. Pamiętaj odgłos wody spadającej na skałę? Woda napełnia ogromny zbiornik. Pęknie, gdy okazemy się nieproszonymi gośćmi. Na zewnątrz zaś, o ile dobrze zrozumiałem Strażnika, czyha ściana ognia.

- I co zrobimy? Grabarz ciężko westchnął.

- Najmniejszy kondukt musi liczyć przynajmniej trzy osoby. Konieczny jest kapłan, wojownik i... obiekt pochówku;

- Ale my nie niesiemy trupa...

- Vito, w szczególnych wypadkach grzebano Aremanów żywcem. By przebłagać ich boga. Taką ofiarę, godną najwyższego szacunku, oznaczano świętym symbolem róży.

- Nie!

Monck milczał. Gorączkowo szukał sposobu wyjścia z pułapki.

- Ceremonia musi zostać dopełniona... - wyrzekła błada, ale daleka od paniki i hysterii Annika.

- Tak - potwierdził grabarz. Potem zaś spojrzawszy bystro na niewiastę potwierdził głosem pełnym nadziei: - Tak, ceremonia musi być zakończona!

- Co ci chodzi po głowie, Monck?!

- Mogę dokonać rytuału pogrzebowego Anniki tu i teraz. Lecz przecież nie ma potrzeby, by ją zabijać czy też pozostawiać. Po prostu przeprowadzi się ceremonię wyprzedzającą!

- Co ty bredzisz?

Finito, znam swoje rzemiosło. Jeżeli przeprowadzę pogrzeb osoby żyjącej, to taki człowiek zostaje uznany za zmarłego. Nie przysługuje mu też później żaden pochówek. Dla grabarzy, dla Przodków, wreszcie dla urzędników jest martwy!

- Zapadła cisza. Potem zaś Finito powiedział:

- To rodzi pewne skutki... będę wdowcem, Annika nie będzie mogła po mnie dziedziczyć... poza tym...

- Pozostaniemy przy życiu! I... może uratujemy Francine.

- Zaczynaj, Elizabediath - zakomenderowała Annika.

Grabarz uniósł latarnię, potem zaś podszedł do najbliższej ściany. Komory grzebalne wykute przed wiekami czekały.

- Anniko...

Niewiasta nie protestując wdrapała się do niszy i legła na wznak. Elizabediath sięgnął do bagażu. Wydobył dwie grube świece, sztukę białego płótna i niewielki dzwonek.

- Znasz aremański ceremoniał?

- Nie. Rodzaj rytuału jest obojętny. Byleby był prawdziwy.

Mistrz Ceremonii wsunął do niszy rękę z dzwoniem. Jego srebrzysty dźwięk rozbrzmiał po trzykroć. Potem grabarz zapalił świece i nakrył leżącą Annikę płótnem, pozostawiając odkrytą głowę. Następnie skłonił się głęboko i począł mówić donośnym głosem:

- Niewiasta w kwiecie wieku nas opuściła... - tu urwał, a gdy zaczął znowu, tym razem nabrzmiałym żalem szeptem, Vitowi zwilgotniały oczy. Elizabediath Monck prawił o życiu Anniki opiewając jej dobroć, piękność i rozumność tak przekonująco, że sama opłakiwana pociągnęła kilkakrotnie nosem, łykając łzy.

Wreszcie Monck umilkł. Potrząsnął dzwoneczkami, a gdy ucichły, rzekł:

- Rycerzu, pożegnaj swą małżonkę.

Vito dobył rapiera, uderzeniem o podłogę skruszył klingę. Potem zaś ucałował stopy małżonki i złożył obok zniszczoną broń. Monck sięgnął do worka Anniki, wydobył żelazną różę.

- Niko, wyjdź stamtąd - powiedział „cywilnym” głosem. Podał jej rękę, a gdy zręcznie zeskoczyła na kamienie, ułożył różę na środku płótna. Jeszcze raz skłonił głowę, zastygł w tej pozie na moment i wreszcie zwrócił twarz ku Strażnikowi. Lecz ten znikł.

- Udało się! Szybko!

W jednej chwili złapali tobołki i ruszyli niemal biegiem ku widniejącemu u krańca sali wyjściu.

- Gdyby nie to, żeś mi przyjacielem, byłbym zazdrosny - wydyszał Finito - jak nic uwiodłeś moją niewiastę. Nos teraz zadzierać będzie pod powałę...

- Twój kłopot: Finito, co ci przyszło do głowy z tym rapierem?

- O - odparł Vito - potrzebny był, jak sędzę, efekt dramatyczny.

Wybiegli w światło dnia.

Pierwszym wrażeniem, jakie odebrali, był koszmarny smród zepsutych jaj. Potem - gdy olśnione oczy odzyskały zdolność widzenia - oniemieli na dłuższą chwilę. Oto stali w ogromnym kotle skalnym. Jego rozszerzające się ku górze ściany miały zjadliwie żółtą barwę. Dno poznaczone było wrzącymi bajorami gęstej mazi, niebo ponad nim zaś osnute szafranowymi oparami. A gorąco biło okrutne.

- Co to jest? - Annika mówiła niewyraźnie, zatykając nos.

Monck wskazał przeciwległą ścianę:

- Patrzcie! Znaleźliśmy Tuan Dagger!

Rzeczywiście ściana kotła naznaczona była wieloma otworami tuneli. Widok odpowiadał w zupełności szkicowi Francine.

- Tamta dziura nieco na lewo to wejście, pójdźmy... Dwadzieścia łokci od nich strzelił z przeraźliwym gwizdem słup pary.

- Jeżeli wejdziemy na coś takiego...

- Vito! Francine czeka - odparł Elizabediath i głos mu drgnął.

Ruszyli ostrożnie. Zapadali się po kostki w żółtym pyłe, parzącym nawet przez skórzane buty. Nim dotarli do wejścia Tuan Dagger, kurz oblepił ich całych. Z ulgą powitali ciemność tunelu. Przeszli nim kilkadziesiąt kroków i za pierwszym zakrętem rozbili obóz. Upał panował tak wielki, że porozbierani do koszul padli na rozłożone na skale derki. Wyczerpani, nie próbowali nawet trzymać wart.

Usnęli niemal natychmiast.

Moncka obudziło pragnienie. Półprzytomny sięgnął po bukłak, łyknął wody i zamarł. Korytarz był skąpany w niesamowitym sinofioletowym blasku. Światło promieniowało zza najbliższego zakrętu. Wstał po cichu, nie wzuł nawet butów. Wyrzwał ostrożnie i w tej pozycji pozostał przez długi, bardzo długi czas. Wreszcie wrócił do obozowiska. Zapalił latarnię. Myślał chwilę, potem klepnął Vita w ramię i pogłaskał Annikę po głowie.

- Wstawajcie, pora już.

Niewiasta ziewnęła przysłaniając dłonią usta i usiadła na posłaniu, przytomna i gotowa, by zająć się przygotowaniem posiłku. Finito zaś naciągnął derkę na głowę, trwał tak chwilę, aż wreszcie począł mówić głosem pełnym urazy:

- Ghelog mi świadkiem! Mogłem spokojnie siedzieć w Barrow i odpoczywać w miękkim łóżu z beczką piwa u boku. Czy uczyniłem tak? Otóż nie! Jak idiota polazłem w dzicz i daję się wodzić po manowcach szalonemu grabarzowi. Nogi mnie boją, dupa mnie boli, Przodkowie, co mnie nie boli! I pomyśleć, że...

Elizabediath słuchał tego z uśmiechem, który jednak bladł w miarę trwania przemowy. Wyglądało na to, iż Finito nie żartuje, a poza tym zamierza wypowiedź ciągnąć bez końca.

Annika podała placki, kiebasę, ser. Nalała w kubki po odrobinie wina i rozcieńczyła wodą. Jej mążzonek trwał dalej:

- ...i jeszcze jak mniemam durnota...

- Vito! Zamknij margaczkę! Cisza ma być. - Annika wydarła buzię tak, że echo poszło daleko w głąb Tuan Dagger. Posłała przepaszający uśmiech Monckowi. - Musiałam. Mógłby nas nudzić do południa.

Zjedli bez pośpiechu w cudownym milczeniu, gdy zaś później Annika odeszła na stronę, Elizabediath zagadnął Finita:

- To normalne, że ona tak cię... gasi?

- A czemu pytasz? - Vito z napełnionym żołądkiem prezentował znacznie bardziej optymistyczne podejście do życia.

- Cóż... dopiero żeśmy ją pogrzebali...

Finito wytrzeszczył oczy, a potem wybuchnął śmiechem.

- Sądzisz, że te parę słów, dzwonki i smutne miny sprawią, że Annika się zmieni w żywego trupa?! Oj, nie mogę - lży rozbawienia ciekły Vitowi po policzkach.

- Vito! To, że masz Przodków za nic...

- Dlaczego za nic? Jak spotkam którego, to piwem poczęstuję, ugoszczę jak najlepiej. Ale - głos Vita spoważniał - jakoś nie wierzę, by mieszały się w nasze sprawy.

- Nic nie rozumiesz. Lecz jeżeli naturalne jest, iż Annika stawia cię na baczność, nie ma o czym mówić...

- Szyderstwo całkiem chybiło, mój stary. Ja zaś poczekam, gdy Katrina weźmie znajomego grabarza pod pantofelek. Kapłanką Etiny nie zostaje się mając słaby charakter...

Ruszyli w dalszą drogę i tuż za rogiem małżeństwo Finitów stanęło oniemiałe. Monck patrzył na tę reakcję z pewnym zadowoleniem. Nareszcie coś ich zaskoczyło, dotąd sprawiali wrażenie jakby lekko rozczarowanych podziemiami. Tym razem było na co popatrzeć. Ogromną kawernę rozświetlały sinofioletowe poblaski. Emanowały je ogromne pnącza, dziko skłębione wysokie mchy i porosty. Na dodatek gęsto przetykane ogromnymi lśniącymi grzybami.

- Co to jest?

- Cóż, zaniedbana plantacja grzybów, ale - dodał spieszenie na użytek Anniki - nie wolno ich dotykać. Bywają śmiertelnie trujące.

Po dłuższej kontemplacji ruszyli w drogę, lecz niebawem wyłoniła się trudność. Oto ścieżka wiła się, rozdzielała, nieraz kończyła ślepo.

- To labirynt! - skonstatował wreszcie Monck. - Szczęściem porosty nie wybujały wyżej jak na dwa łokcie...

A jednak strawili dużo czasu na przebycie jaskini. Wreszcie Finito przypomniał sobie wyczytaną gdzieś „regułę lewej ręki” i stosując ją posuwali się daleko sprawniej.

Do następnej kawerny weszli ostrożnie, gdyż z wąskiego prześwitu biło jasne światło i... żar. Pierwsza wcisnęła się Annika i krzyknęła z zachwytem. A było co podziwiać. Jaskinia porośnięta była kwieciami i krzewami tak różnobarwnymi, że bogactwo kolorów aż kłuło w oczy. Dziwaczne aromaty spleływały się w jedną duszącą całość. A światło... płynęło wprost z ogromnych okrągłych otworów wybitych w stropie jaskini.

- Na miłość Przodków! Te... świetliki zakrywają kryształowe tafle! - wykrzyknął oszołomiony Finito.

- Tytaniczne dzieło, mag był naprawdę tak potężny, jak to o nim bajają. - Monck stał z zadartą głową. Dostrzegł kątem oka, jak Annika schyla się, by zerwać ogromny, mięsisty kwiat o barwie najgłębszej purpury. Nim dotknęła rośliny, śmignął sztylet Vita. Odciął kielich, z grubej łodygi bluznął tłusty biały sok, który momentalnie strawił kościaną rękonożnicę.

- Umówmy się, moja miła, że nic, ale to naprawdę nic nie będziesz brała do swych pięknych rączek. Straciłem już rapier i sztylet, ale to przeboleję. Natomiast utraty ciebie raczej bym nie przeżył - ton głosu Finita kontrastował z jego rozbawioną miną, gdy stał tuląc rozdygotaną małżonkę do piersi.

- Grzybiarnia i ten precyzyjny ogród jest dziełem geniusza o chorym poczuciu humoru - orzekł Monck. - Lepiej nie ryzykować, nałożmy podróżne płaszcze i rękawice...

- Ugotujemy się!

- Pozostaniemy żywi - poprawił Annikę Elizabediath.

A jednak w połowie drogi przez obszerną jaskinię Monck gotów był się zgodzić z małżonką Finita. Opływał potem, w oczach miał mroczki, upał spotęgowany duchotą odbierał siły. Szczęściem drożyna, pozostała po zarośniętej alei, była prosta i wciąż dość szeroka. Przystanęli, dysząc; Finito nawet usiadł na zwaliskach fontanny. Mruczał, liczył sylaby. Tworzył.

Annika słuchała go z rozjaśnioną twarzą, w końcu orzekła:

- Nareszcie coś zgrabnego. Zapisz, sprzedamy pean hrabinie Valer za sporą sumkę...

„ Gdzie jasne świty czas odmierzają żyć mi pozwólcie! Tu pozostają”

- wyrecytował zakończenie Finito.

Grabarz machnął ręką, przetrął powieki i zerknął ku wciąż odległemu wyjściu. Daleko - o strzelenie z haku - ktoś szedł, powoli i ostrożnie, w tym samym kierunku co i oni. Monck zachłysnął się powietrzem, a potem rzekł załamującym się głosem:

- Tam... Francine!

- Co? Gdzie?!

- Poznajesz z tej odległości? - po twarzy Vita spływały strumienie potu, ocierał je rękawem.

- Nikt tak nie chodzi, tylko ona. Hej ! Francine ! Stój ! - ryknął pełnym głosem grabarz.

Zobaczyli, jak nikonąca w wyjściu postać odwróciła głowę - twarz z tej odległości była tylko jasną plamą - i pomachała im ręką.

A potem... ruszyła dalej.

Okrzyk zamarał Monckowi na wargach. Popatrzył osłupiały na Finitów.

- Zwariowała? - wydusił wreszcie. - Gońmy ją!

- Sprawdzimy. Niedługo. - Finito położył dłoń na ramieniu grabarza. - Ale ty, kawalerze, masz kłopot.
- Co znowu? - rzekł grabarz niecierpliwie.

- Przecież ty ją kochasz! To widać jak na dłoni! A że jesteś człkiem prawdomównym, wychodzi na to, iż darzysz uczuciem dwie niewiasty!

Twarz Moncka nie mogła bardziej poczerwieniec, ale milczenie świadczyło jednoznacznie o celności strzału.

- Vito, przestałbyś głądzić! - Annika pospieszyła Elizabediathowi z pomocą. - Ten problem zostawmy na później. Wpierw wyjdźmy stąd wszyscy żywi...

Bez słowa ruszyli prawie biegiem, choć przed chwilą zdawało się, że ledwie stawiają nogi.

Dopadli wyjścia z ukwieconej kawerny ledwie dysząc. Przebiegli krótki ciemny korytarzyk. Potem niewielkie rozszerzenie nie zasługujące na miano jaskini, po białych ścianach płynęły tam strumyki wody (Monck dostrzegł ślady wielodniowego obozowiska) i wbiegli - nadal ledwie dysząc - w kolejny korytarz. Wtedy usłyszeli przeciągły zgrzyt i w tym samym momencie słoneczny poblask zgasł. A grabarz zderzył się z tak długo poszukiwaną Francine.

- Stało się! - powiedziała trochę od rzeczy, obojętnie pozwalając na uściski i pocałunki.

- Monck! - krzyknął z tyłu Vito - jesteśmy w pułapce! Nie ma wyjścia, zniknęło!

Grabarz wypuścił dziewczynę z objęć i się cofnął.

- Sądzę - rzekł rozdygotanym jeszcze głosem - że musisz nam niejedno wyjaśnić, droga Francine.

- Ale nie teraz - wtrąciła zasapana Annika. - Spójrz, przecież ona ledwie dycha.

Rzeczywiście Francine chwiała się na nogach, brudna, śmierdząca, o nieprzytomnych oczach. Szatę miała porwaną, lewy oddarty rękaw odsłaniał paskudną bliznę po oparzeniu.

- Gorączkowy blask zgasł w źrenicach Frań i dziewczyna legła na ziemi.

- Rozbijcie obóz. Tam dalej. Ja zaopiekuję się biedaczką. Elizabediath, porozmawiasz z nią, gdy j a pozwolę. Zrozumiano?

Monck skinął głową, ale ona już na nich nie zważała. Pospiesznie rozpakowywała tobołki.

Francine otworzyła oczy dopiero wieczorem. Grabarz i Vito mieli więc dość czasu, by zbadać dokładnie okolice. Droga, którą przybyli, była zamknięta. Skały zwały się, jakby tunel nigdy nie istniał. Korytarz lub raczej wydłużona, dość obszerna jaskinia przypominała zamkową salę, tyle że wykutą w litej skale. Niski sufit zwiślał tuż nad głowami. W przeciwległej wejściu ścianie ziała wąski prześwit. W sam raz dla szczupłego człowieka. Gdy podeszli bliżej, Monckowi włosy zjeżyły się na głowie. To co brał za poblask nieba, było gęstym wirującym płynem, od którego dochodził cichy, trzeszczący dźwięk. Vito cisnął kamykiem. Błysnęło bielą i odłamek skałki zniknął.

Popatrzyli sobie głęboko w oczy.

- Zaprawdę, Francine niejedno będzie musiała nam wyjaśnić! - rzucił grabarz bez specjalnej jednak nadziei w głosie.

Wrócili do obozowiska. Przyczyna ich kłopotów oprzytomniała, a nawet na jej policzkach pojawiły się lekkie rumieńce.

- Mon... ck!

- Leż, słodka panno.

- Ale... czas... nie mamy czasu! - nieporadne wysiłki Francine, by usiąść, skończyłyby się niepowodzeniem, gdyby nie pomoc Elizabediatha.

Vito i Annika próbowali się cichcem ulotnić, ale grabarz powstrzymał małżonków.

- Francine zawsze zostanie dla mnie słodką panną, ale... wyjaśnień musimy wysłuchać wspólnie. No, kocie... słuchamy.

Francine milczała z pochyloną głową.

- Ech! - fuknął zniecierpliwiony grabarz. - I tak dużo wiemy. Przybiegłaś do Tuan Dagger za swoim Marcelem, który z kolei postanowił podreperować wasze finanse rabując grobowiec Daggera. Szczyt głupoty!

Francine spojrzała wprost na Moncka. Jej oczy lśniły, a usta wykrzywił grymas.

- Tak, twojej! Bo w tym, co mówisz, nie ma ani słowa prawdy! No, może poza jednym... jestem tu dla Marcela...

- Dziecko - odezwała się Annika zastępując zbaraniałego grabarza - nie dręcz nas. Przyszliśmy ci z pomocą, a teraz...

Cała złość wyparowała z dziewczyny.

- Tak... wybaczcie... ale nie wiedziałam, że przybędziecie z Monckiem...

- No pięknie, co do mojego życia nie masz żadnych skrupułów? Mówże wreszcie, o co chodzi, potworze!

Francine uniosła hardo i buntowniczo głowę:

- Potworze? Sam jesteś potwór. I przez ciebie to wszystko... to twoja wina!

- Moja... wina?

- Ty dałeś mi ten przeklęty amulet! - wykrzyczała.

- Tak. Dałem. I dobrze wiesz dlaczego - chłodny głos Moncka nieco otrzeźwił pannę. - A ponieważ utrzymywanie sekretu tutaj w grobowcu Daggera...

- I znowu fałsz. To nie grobowiec, lecz Ogród.

- Co?

- Tuan Dagger znaczy „Ogrody Daggera”.

- Nieistotne. Annika i Vito narażali dla ciebie życie i mają prawo wiedzieć. Narzeczony, a obecnie pewnie już małżonek Francine jest... stał się...

- Wampirem - dopowiedziała śmiało dziewczyna.

- I moją winą, ogromną przyznaję, było, że domyślając się tego, nie zniszczyłem nie umarłego. Ale że nie mogłem pozostawić Frań na łasce bestii... podarowałem jej rodzinny amulet. Ochronny i bardzo skuteczny.

- Skuteczny?! Ten pieprzony prezent sprawił, że nie możemy z Marcelem żyć jak mąż i żona! Nie możemy się dotknąć, bo mój ukochany zaczyna płonąć żywym ogniem!

- Ale... dlaczego nie wyrzuciłaś amuletu precz? Wściekła Francine rozdarła koszulę odsłaniając pełne, może nawet ciut przyciężkie piersi. Między nimi błyszczał skromny złoto-srebrny liść.

- No, spróbujcie go zdjąć!

Vito już prawie sięgał po klejnocik, gdy Annika trzepnęła męża po łapie i trzema palcami ujęła liść. By po chwili wypuścić.

- Przyklejony? - zdumiała się.

- Przywarł do mnie! Wrósł w ciało! - oczy Frań wypełniły się łzami wściekłości.

Twarz Moncka ściał lód. A potem grabarz chrypliwie zapytał;

- Frań... na miłosierdzie Przodków! Chciałaś zostać wampirem?!

- Tak - odparła bez wstydu w głosie. - Wtedy mogłabym żyć z Marcelem całą wieczność. I sądziliśmy, że amulet przestanie działać...

Elizabediath Monck bluznął taką wiązańką przekleństw jakiej nigdy dotąd nie dane było słyszeć ani Vitowi, ani jego żonie. Nie wspominając Francine.

Grabarz długo nie mógł się uspokoić. A gdy wreszcie jako tako ochłonął, odezwał się zimnym, wyjątkowo nieprzyjemnym głosem:

- Wiesz o tym, że to zwykle wampirze podstępny? Rozkochał cię w sobie, by zniszczyć twoje ciało i duszę...

- Kłamstwo! Nieprawda! - zakrzyczała Francine zgarniając rozchełstaną koszulę. - On poświęcił dla mnie wszystko! Przybył do Tuan Dagger, by podjąć próbę unicestwienia swego daru!

Elizabediatha skrzyło na samą myśl o „darach”, jakie chciał przekazać Mareel, czy raczej wcielony weń wampir, zakochanej dziewczynie. Ale słuchał uważnie.

- Francine, opowiedz historię po porządku. Inaczej do niczego nie dojdziemy.

Francine Dalambert, narzeczona nie umarłego, z ogromnym trudem powściągnęła emocje i łyknąwszy nieco wina skinęła głową.

Jakiś rok temu przywieziono matce sporą przesyłkę. Pięć wielkich skrzyń pełnych starożytnych ksiąg i przedziwnych przedmiotów. I jednozdaniowy liścik od zaginionego tatulka nakazujący surowo nie tykać zawartości skrzyń i umieścić je w bezpiecznym miejscu...

- Tegoż samego dnia razem z mamusią przejrzałyście wszystko dokładnie, nieprawdaż?

Dziewczę spojrzało złym okiem na grabarza, ale przytaknęło.

- Odkryłyśmy starożytne przedmioty z Tuan Dagger...

- I co? Marcel nagle stwierdził, że w grobowcu czy też, jak chcesz, w ogrodzie Daggera znajdzie rozwiązanie waszych problemów?

- I po co ta ironia? Przecież ty nic nie wiesz, Monck, Nic.

Elizabediath przyjrzał się jej uważnie. To już nie było dziewczątka, jakie znał. Dojrzała. Dorosła. Zokrutniała.

- Marcel znał Daggera - powiedziała beznamiętnym głosem.

- Coo?!

- Dagger był potężnym magiem - mówiła dalej nie zwracając uwagi na zdumienie słuchaczy. - I miał tylko jeden cel. Sensem jego poczyniń było znalezienie formuły nieśmiertelności... Marcel to jeden z nieudanych eksperymentów, „fałszywa ścieżka”, jak nazwał go Dagger...

- Czemu?

Francine spojrzała na Finita, który odrzucił na chwilę maskę filuta i błazna.

- Wampiry jednak umierają. I z czasem... ulegają przemianie. Dagger chciał pozostać sobą.

- To wszystko jest nieprawdopodobne!

- Finito. Ona mówi prawdę.

- Skąd...

- Rozmawiałem z tym wampirem. Wtedy nie rozumiałem tego... wrażenia. Teraz wiem. W ukochanym Francine pozostał jeszcze cień człowieka, którym niegdyś był. Nie został krwio pijcą w normalny sposób. Ale dlaczego - rzekł do dziewczki - nie wrócił do Tuan Dagger wcześniej?

- Bo podobało mu się to, kim jest, bo miał wszystko i mógł wszystko.

- I ty to zmieniłaś? - w głosie Moncka słychać było wystudiowaną obojętność, co nadawało pytaniu formę miażdżąco sarkastyczną.

- Od tysiąca lat nikt i nic nie znalazło się poza zasięgiem Marcela. Aż poznał mnie. Wtedy postanowił podjąć ryzyko...

- Ryzyko?

- Ogrody Daggera są strzeżone, a im głębiej, tym zagrożenie rośnie. Rzeczy, które znalazłyśmy w przesyłce, dawały pewność Marcelowi, że oszuka strażę i ominie pułapki, tak przynajmniej sądziliśmy... Nie pozwolił mi iść ze sobą.

- Pochyliła głowę.

- Gdy minął ustalony termin, ruszyłam na pomoc...

- Ale jak udało ci się samej przejść grobowce Aremanów... Jak...

- Odbyłam tę drogę dwa razy. Znalazłam tu, w tej komorze notatkę Marcela. Napisał ją na wszelki wypadek, wiedział, że nie zostawię go bez pomocy. Ale za tą komorą jest coś, co jego napawało lekkiem, a dla mnie, dla człowieka jest nie do przebycia. A przez cmentarz dzikich przeszłam, bo miałam insygnia królewskie.

- Tak tedy stwierdziłaś, że sama sobie nie poradzisz. Wtedy postanowiłaś zwabić mnie, oszukując, żeś w niebezpieczeństwie. Potem zaś zamknęłaś nas wszystkich w pułapce, a jedyna droga wyjścia to ta, która przeraża nawet wampira. Taka jest prawda?

- Owszem.

- Francine! To potworne, co ten stwór ci zrobił! Nie widzisz tego? Nie pojmujesz? Stawiasz na szali życie swoje, moje i ludzi, którzy nie znając ciebie ruszyli ci z pomocą...

- Nie wiedziałam, że kogoś ze sobą przyprowadzisz! - krzyknęła. Potem zaś odwróciła twarz ku ścianie i dodała zimnym, obcym głosem: - Zresztą wszystko jedno. Bo liczy się tylko on, moja miłość...

Zapadła ołowiana cisza. Przerwana po chwili przez Annikę.

- Monck! Francine nie oszukała ani nas, ani ciebie. Ona naprawdę była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Czyż tego nie widzisz? Posłała wezwanie do jedynego człowieka, jakiemu ufa i jaki według niej może i zechce pomóc... Nie kochałaś nigdy? Tak naprawdę, do kresu? I czy wiedząc wszystko, co ci teraz rzekła, nie pospieszylbyś jej i tak na ratunek?

- Zrobiłbym to - odparł czystym, zdecydowanym głosem. - Nawet gdyby została wampirem.

Dziewczę z płaczem objęło Moncka za szyję. Dobrze jednak, że nie знаła myśli grabarza. On wiedział, iż najlepszym ratunkiem dla nieumarłego jest solidny osinowy kołek.

Annika twardo zażądała odłożenia wszelkich rozmów do następnego dnia. Francine musiała odpocząć i już. Z Anniką-opiekunką chorych nie było dyskusji.

- Monck zasypiając usłyszał, jak Francine pyta mruczącego pod nosem Vita:

- Co tam notujesz, szlachetny panie?

- Wiersze. Szkicuję wielki epos „Dama z Opresji Wybawiona”.

- Aaa... wierszokleta...

- Zbyt młodaś, urodziwa panienko, by docenić rolę poezji i z arogancją przynależną młodości lekceważysz trudy konieczne przy jej tworzeniu...

Francine poruszyła się gwałtownie na posłaniu, a potem wypaliła:

*„ Srogi panie! - jak się uprę
ruszę moim wdzięcznym kuprem,
albo... głową wedle chęci -
bo to kusi i to nęci;
do zaszczytów dojdę wielkich
i poezji będę asem -
a pan łapę ssij tymczasem!*

Monck wybuchnął śmiechem. Miny Finita widzieć nie musiał, długie milczenie u zwykle wygadanego przyjaciela było dość wymowne. Koszmar spotkania w piekielnym Tuan Dagger zelżał i grabarz odpłynął w głęboki sen.

Po śniadaniu, już bez namów i uników, Francine rzekła:

- Tam, za tą mleczną przesłoną... czyha kolejny eksperyment Daggera. Był opętany na punkcie nieśmiertelności, to już wiecie. Co jest wrogiem życia? Upływający czas... Sprawił więc, że czas na ograniczonym obszarze stanął.

Jeżeli Francine oczekiwała okrzyków zdumienia i licznych pytań, zawiodła się srodze. Przybyli na jej ratunek ludzie wyczerpali już limit zdziwień.

- Jakżeż mamy pokonać tę zaporę? I wybac, magia czasu nie jest moim rzemiosłem. Dlaczego akurat mnie wezwałeś?

Eli. Jesteś najmądrszym człowiekiem, jakiego znam. Jeżeli ty nie zdołasz nic poradzić, nikt tego nie dokona. Może mój ojciec... ale gdzie go szukać?

- A co nas czeka dalej?

- Sądziliśmy, że w głębi znajdziemy Daggera. Żywego. W końcu miał kilkaset lat na zrealizowanie celu...

- Jak w takim razie zamierzał przebyć pułapkę wamp... Marcel?

- Myślał, że jako nieumarły, a więc minimalnie tylko podlegający czasowi będzie odporny na jego zatrzymanie.

- Nie miał racji. Jego także czas kiedyś złamie. Pułapkę mógłby przekroczyć tylko ktoś martwy. Całkowicie.

- I cóż takiego truposz mógłby zdziałać? - parsknęła chichocząc Francine, lecz zobaczywszy miny pozostałych umilkła.

- O nie, Monck, nie możesz tego żądać. - Annika błada i zdecydowana wyrażała sprzeciw całą sobą. - Cóż z tego, żeś odprawił gusła, ja żyję. Chcesz sprawdzić? Daj mi nóż, zobaczysz, że krew mam tak samo czerwoną jak przedtem!

- Twój bóg uznał cię za martwą. Inaczej strażnik grobowca nie przepuściłby nas...

- Nie wierzę w żadnego boga!

- Ale on, choć nie znany nam z imienia, wierzy w ciebie!

- O czym, do licha, mówicie?! - nie wytrzymała Francine.

Vito, równie jak Nika poruszony, wyjaśnił w skrócie. Na ścianach tańczyły cienie. Płomień latarni nieznacznie falował.

- Zapadła cisza. Przerwała ją Annika.

- Czy to znaczy, że będę egzystować wiecznie? Czy może mam się spodziewać nagłego... powołania?

- Nie wiem. I nikt nie wie. Między innymi dlatego takie praktyki są od dawna surqwo *zakazane*. Lecz nie uszlibyśmy z grobowców, gdyby nie twoja ofiara. A teraz też mamy wybór: albo ocalisz nas znowu, albo zostaniemy tu i umrzemy z pragnienia i głodu.

- Dobrze więc. - Annika wstała i wypięła bohatercko stromą pierś. - Uczynię to... ale właściwie co mam zrobić?

- Przedostań się na drugą stronę pułapki. Znajdź Daggera i przekonaj, by nas uwolnił.

- Ach! tylko tyle? - odparła sarkastycznie.

- Anniko! - Vito wziął ją w ramiona i mocno przytulił. - Dagger może być najstarszym człowiekiem Ocalonej Krainy i zapewne najpotężniejszym z magów, ale jest tylko mężczyzną. Nie ma takiego chłopca na świecie, którego nie owiniesz sobie dookoła palca!

Małżonka Vita pokraśniała na licach. Potem zaś lekko odepchnęła swego ślubnego i rzekła:

- Idę. Od razu.

I rzeczywiście ruszyła ku mlecznej poświacie Pułapki Daggera. Nie zatrzymała się nawet na moment. Z marszu dała krok w nicość.

Błysk poraził wzrok. Kiedy go odzyskali, po Annice nie było ani śladu.

- Szykujmy się! Musimy być gotowi... - Monck nie dokończył mówić, gdy mleczne lśnienie zbladło, a potem zanikło.

- Tak szybko?

- Vito! Nie wiemy nic o sztuczках z czasem Daggera! Łapmy tobołki!

Początkowo korytarz nie różnił się od tych, jakie przebyli, potem jednak poczęli znajdować... ludzi. Leżeli lub siedzieli pod fosforyzującymi ścianami. Żywi, lecz oszołomieni, niemal bezprzytomni. Elizabediath mimo pośpiechu, w jakim podążał, dostrzegł różnorodność strojów i uzbrojenia więźniów czasu. Niektórzy z nich musieli już od dawna tkwić w pułapce. Być może całe wieki. Tunel był długi, bardzo długi. Mijane postaci powoli odzyskiwały świadomość. I rysy ich twarzy wykrzywiły okropne grymasy. Niektórzy wręcz toczyli pianę z ust. Poczęli wydawać ochryple, nabrzmiąle furiacką nienawiścią okrzyki. Biegący nie rozumieli słów, ale pojęli, iż wszyscy uwięzieni stracili rozum.

- Prędzej!

Wpadli do prostokątnej salki. Już na progu zaatakowało ich czterech mężów w przedziwnych brygantynach z paskudnie wyglądającymi toporami i maczugami w dłoniach.

Monck przechwycił pierwsze uderzenie na niesiony tobołek. Dobył rapiera, straszliwym ciosem w pierś powalił przeciwnika. Szybki jak wąż Finito mistrzowskimi pchnięciami zabił dwóch napastników. Francine równie błyskawicznie przeszła szyję atakującego szaleńca. Bluznęła krew i ostatni napastnik padł na ziemię.

- Dagger nie dość, że pozbawił rozumu natrętów, to jeszcze uczynił z nich strażników! - powiedział Finito z podziwem w głosie.

Nie chowając broni przebiegli salkę, lecz tuż za nimi wpadli do niej wojownicy. Nie mieli najlepszych zamiarów.

- Monck syknął:

- Na co czekasz, Francine? Biegnij do Anni i... Marcela. My z Vitem zatrzymamy wariatów...

Finito zasalutował furiatom lekkim rapierem swej małżonki. I wyrecytował:

Naprzód rycerze, zawadiaki birbanci, łotry, łapserdaki, Naprzód po życie lub po śmierć Bądźcie odważni, bo na honor! Warn nie ustąpię ni kroku ćwierć!

- Vito! Ta publiczność na pewno cię nie doceni - rzekł z westchnieniem Monck.

I miał rację.

Wojownicy, początkowo zmieszani spokojem przeciwników, przystanęli, lecz tylko na chwilę. Rycząc wściekle, zaatakowali. I zaczęła się rzeź.

Monck co prawda już od dawna nie wykopywał samodzielnie dołów mogiłnych, ale krzepa mu pozostała. Mało było finezji w jego sposobie walki. Polegał na sile i tych niewielu trikach, których wyuczył go niegdyś Vito. Finito przeciwnie. Był mistrzem rapiera, jego parady miały znamiona geniuszu, klinga migiała w przedziwnym bładym świetle wydzielanym przez ściany, stwarzając barierę zda się nie do przebycia. Finito i Monck tworzyli znakomitą parę wojowników uzupełniając się nawzajem, rozumiejąc w pół gestu.

A jednak, mimo iż kilku szaleńców padło, a wielu zebrało krwawe rany, napór nie malał. I wbrew wierszowi musieli opuścić salkę, stawić opór w głębi korytarza. A atak nie ustawał. Ustępowali krok za krokiem. Tym szybciej, iż wśród napastników pokazali się wojownicy z naprawdę zamierchłej przeszłości - tego opancerzeni, zbrojni w długie miecze, trudni do ugryzienia zwłaszcza dla Moncka. Finito zawsze znalazł miejsce, by pchnąć w dziurę hełmu, pachwinę czy kolano.

Minęła więcej niż miara wody, ręce obrońców mdlały. Zmienił sposób walki. Teraz jeden powstrzymywał wariatów, drugi, ukryty za plecami walczącego, łapał oddech. Szczęściem wąski korytarz sprawiał, iż nie więcej niż trzech naraz mogło atakować.

- Patrz! - Finito rykiem zwrócił uwagę Moncka na nadchodzących wojów zbrojnych w długie berdysze.

- Nie! To ty patrz! - Grabarz wskazał za siebie. Korytarz się kończył. Dalej ziała przestrzeń obszernej jaskini. Pora była umierać. Położyli ze dwudziestu, ale pozostali zmasakrują ich bez trudu. Przeszli się cofać, dobyli resztek sił. Uderzony w głowę Finito przykleknął na jedno kolano. Monck skoczył przed niego, sparował następny cios...

- Padnij! - posłyszeli głos Anniki. Ledwie zdążyli wykonać polecenie, nad nimi śmignęły ciężkie bełty. A potem w napastników uderzyła następna salwa. Atak ustał.

- W nogi! - zawrzęsnęły Annika i Francine. Słaniając się wbiegli do sali. Za ich plecami rozbrzmiało głośnie cmoknięcie. I korytarz wypełnił znajomy mleczny wir. Walczący w amoku szaleńcy zastygli w dziwacznych pozach niczym muchy w bursztynie.

Niewiasty nie pozwoliły na odpoczynek. Wsparły ich; popychając i ciągnąc wprowadziły w następny korytarz. Pokrwawieni i wyczuci z sił, nie protestowali. Gdy jednak Annika otworzyła ciężkie metalowe drzwi ukazując przestronną jasno oświetloną komnatę, Monck wreszcie się zbuntował:

- Gdzie nas wieście? I gdzie jest Marcel? Francine?

Zamykane drzwi załomotały za ich plecami i jednocześnie posłyszeli nieco ironiczny baryton:

- Miło, że się tak o mnie martwisz, Monck. Ale nie ma powodu. Jestem tu, i to w dobrym zdrowiu.

Grabarz stał z czoła stygnący pot i spojrzał w bok. Pod ścianą okrytą zdobionym złotem kurdybanem stał Marcel. W podróżnym stroju - mocno podniszczonym - z młodą twarzą, do której straszliwie nie pasowały wyblakłe błękitne źrenice. Pamiętające minione wieki, patrzące zapewne na niejedną krwawą zbrodnię. Okropne oczy! Prawdziwy Marcel takich nie miał...

Wampir... już nawet nie udajesz, co?

Marcel wzruszył ramionami.

- W jakim celu miałbym to czynić? Ale powiedz, grabarzu, co zrobisz? Będiesz próbował zabić mnie teraz? Czy trochę później, cichcem, tak by Francine nie obarczyła cię winą?

- Zabić? Nie umarłego? Takiego stworza można tylko unicestwić. Bo martwy jest już od dawna...

Wampir wydał usta.

- Więcej martwych widzę w tym towarzystwie...

Monck zamilkł. Coś było straszliwie nie tak. On: grabarz i strażnik spokoju umarłych stoi i spokojnie konwersuje z krwiopijcą. I nic nie czuje. Nic. Żadnej emanacji zła.

Wtedy Francine sięgnęła pod koszulę i jednym ruchem zerwała łańcuszek znaczący dotąd jej długą szyję. Podała go Elizabediathowi na wyciągniętej dłoni. Amulet zabłysnął w świetle bijącym z sufitu.

- Nie będzie już potrzebny, Monck. I - dodała szybko - na drugi raz poważnie się zastanowię, nim coś od ciebie przyjmę.

Elizabediath Monck wziął rodowy klejnot. Nie mógł oderwać odeń zdumionego spojrzenia.

- No, dość zabawy, Francine. Widzisz jego kontuzję. To się nie godzi. W końcu przybył ci na odsiecz... i kocha cię, być może równie mocno jak ja. Grabarzu - rzekł już innym tonem nie umarły - tu, w apartamentach Dagera nie działa żadna magia. Żadna. Kto wie, czy można stąd wezwać któregoś z bogów?

- A Dagger? Gdzie jest? - opatrzony przez Annikę Finito doszedł do siebie i zadał najważniejsze pytanie, wyręczając wciąż osłupiałego Moncka.

- Dagera nie ma. Niestety.

- Nie ma?

- Chodźcie za mną. Pokażę wam coś. Zdążyłem wykryć to, co zostało po magu...

Poszli za nieumarłym. Monck szeptem zapytał Annikę:

- Jak ci się udało zdjąć pułapkę?

- Nic nie zrobiłam. Tyle że przesłałam... bariera znikła i z tunelu wybiegł on.

- To prawda - rzekł Marcel dowodząc wyższości wampirzego słuchu. - Szczęściem nie spoczywałem w sidłach zbyt długo. Tamci nieszczęśnicy... wyobraźcie sobie, musieli tak trwać przez całe wieki. Bezradni...

- Brak upływu czasu wstrzymuje wszystko. Nic nie powinni czuć.

- A jednak. Umysł pracuje jak w koszmarnym śnie, z którego nie możesz się obudzić.

Wampir otworzył rzeźbione misternie drzwi mówiąc:

- To był gabinet i jednocześnie pracownia. Nie ma tu światła. Ja widzę... ale wy...

Annika sięgnęła do tobołka niesionego przez Vita. Wydobyła małą latarkę. Skrzesła zręcznie ogień. Monck wziął światło z jej rąk i uniósł latarnię wysoko nad głową.

Obszerny gabinet w zasadzie nie istniał. W suchym powietrzu wirował kurz i popiół. Komnata wyglądała tak, jakby pośrodku majolikowej posadzki wybuchło coś znacznie potężniejszego od prochu. Z opalonych ścian powiewały strzępki kosztownych materii. W podłodze ział bezdenny krater.

Na jego skraju spoczywał skręcony, wysuszony zewłok.

- Dagger - rzekł wampir.

- Dużo wiesz. I dużo zdążyłeś zrobić - rzekł podejrzliwie Monck.

- Dużo? Gdy Annika mnie uwolniła i opowiedziała wasze przygody, pobiegłem błagać Daggera o pomoc... Potem zaś odwiedziłem zbrojownię, ot i wszystko. Jak na pół dnia wykazałem raczej małą aktywność.

- Pół dnia?!

- A tak - przytwardziła Annika - grzebaliście się okropnie.

Monck machnął ręką. Mag musiał swymi zaklęciami całkowicie zrujnować strukturę czasu. Szczęściem na ograniczonym obszarze.

- A kto ponownie uruchomił pułapkę?

- Pewnie sama się aktywuje po upływie ustalonego czasu. A może zbliżenie żywych ludzi do wyjścia ją uruchomiło? Nie wiem.

Po grzbiecie Moncka przebiegł niemiły dreszcz. Mało brakowało, aby i on zamienił się w muchę pogrzebaną w bursztynie czasu! Nim zdążył ponownie otworzyć usta, wampir podał mu zwinięty pergamin.

- To list od Daggera do mnie. Znalazłem go w pierwszej sali. Przeczytaj, a będziesz wiedział tyle co i ja.

Grabarz wyszedł na korytarz. Zerknął w pergamin.

Ukochany uczniu mój i pomocniku! Zostawiam tę wieść dla ciebie, boć tylko ty, Nerah og Hagenau, znajdziesz drogę do mej siedziby, choćem zrobił wiele, by nikt tego nie dokonał. Alem wiedział, że uczynisz wszystko - pewnego dnia - by pozbyć się efektów nieszczęsnego naszego eksperymentu.

Z bólem uwiadamiam cię, iż przy całej mej potędze sprawić tego nie jestem zdolen. Gdybyś jednak kategorycznie nie chciał pozostawać wapiernym, weźmij w posiadanie me Ogrody. Tu, jak mniemam, wszelka magia obumrze i Pałac mój stanie się jako świat u zarania dziejów - tylko prawa natury działać w nim będą. Życ możesz długo, a wszelkie wapierności cię opuszczą. Tedy wybieraj - więziem chcesz li zostać, czy dalej trwać w półżyciu. Tobie zostawiam decyzję.

Żegnaj cię, albowiem stwierdziłem niemożność uzyskania wiecznego żywota w tym świecie. Spróbuję przenieść swego ducha i umysł tam, gdzie mogą istnieć bez ciała i ograniczeń czasu. Hazard to wielki, wszystko stawiam na jedną kartę. Jeśliby mi się udało, wezwij mnie po trzykroć, a odpowiem stamtąd i będę cię miał w opiece.

Heliasz Dagger.

- Wzywałś go?

- Tak.

- Nie powiodło mu się - stwierdził Monck.

- Chciał zostać bogiem. To ryzykowna próba, Monck. Nie sądzisz?

- Bogiem?

- A jak nazwać kogoś, kto istnieje poza czasem i materią i gotów jest odpowiadać na supliki zwykłych ludzi wspierając ich i pomagając?

Zapadło milczenie. Francine stała przytulona do wampira, Annika ponownie oglądała rany i stłuczenia Finita. Vito trwał bez ruchu, ale z dłonią zaciśniętą na rękojeści rapiera. Czekał na konkluzję, gotów zareagować, gdyby pomysły nie umarłego mu się nie spodobały.

Ale krwiopijca nie rzekł już ani słowa. Dopiero Monck przerwał ciszę:

- Tedy sumujmy. Ale, ale, jak mam cię zwać? Nerah og Hagenau?

- Wystarczy Marcel.

- Dagger zapłacił głową za swoje mrzonki. Nie odczaruje cię. Co wybierzesz?

- Uspokój! twe sumienie, grabarzu. Zostanę tutaj. Z prostego powodu. Jedyne wyjście mamy odcięte. Jesteśmy uwięzieni. Wszyscy.

- Coo?!

- Przecież Dagger jakoś cię stąd wyprawił! - wykrzyknęła Annika.

- I owszem. O ile pomnę, otworzył magiczne przejście... i pozbył się mnie. Zaraz po przemianie byłem bardzo agresywny. Jak to zrobił, nie wiem. Nie jestem magiem, a tylko uczniem czarnoksiężnika.

- Pomrzemy z głodu? - cicho zagadnęła Annika.

- Ach, nie! - Wampir ukazał w uśmiechu całkiem normalne uzębienie. - Zobaczyliście dotąd drobną część Ogrodów Daggera. Są tu jaskinie pełne przemyślnych zbóż i warzyw. Niestety Dagger nie jadł mięsa i nie pijał alkoholu, dietę więc będziemy mieli nieco monotonna...

- Nie spocznę, nim nie znajdę jakiegoś wyjścia - rzucił Vito przerażony wizją braku piwa i solidnego sztukamięsa na obiad.

- Będziemy mieli na to całe życie. - Stwierdzenie wampira jakoś nikogo nie uspokoiło.

- Zabawne - rzekł Monck.

- Znajdujesz naszą sytuację zabawną? - zdumiał się lekko Marcel.

- Zabawne jest to, że twój mistrz - grabarz wskazał majaczące w ciemnościach truchło - szukał nieśmiertelności przez setki lat i to dążenie go wreszcie zabiło.

A znalazłeś ją ty: zwykły, no może nie tak bardzo zwykły wampir.

- Co masz na myśli? - twarz Marcela porały zmarszczki, w miejscach, gdzie jako żywo nie mógł ich mieć dwudziestoparoletni młodzieniec.

- Wcieliłeś się w Marcela, og Hagenau. Cóż ci przeszkodzi zrobić ponownie?

Ach, masz rację. W pewnym sensie, oczywiście. Umysł Marcela właśnie umierał... A i ja byłem o krok od zagłady. Nie sądzę, bym chciał kiedykolwiek ryzykować ponowną „przesiadkę”.

Grabarz skinął głową. Wy tłumaczenie brzmiało prawdopodobnie.

- Monck - zagadnęła Francine - czy... Marcel ma rację? Dagger chciał zostać Bogiem?

Elizabethiath zamyślił się głęboko. A potem odparł z bolesnym wyrazem twarzy:

- Nie wiem. Trudne pytania zadajesz, słodka panno.

Francine wzruszyła ramionami.

- Bo na łatwe, Monck, na łatwe to ja sobie odpowiadam sama!

Elizabethiath uradował się w duchu. Zakochana w wampirze czy nie, Frań pozostawała niezmiennie sobą. Panną energiczną, prostolinijną i zabawnie złośliwą. Była jeszcze dla niej nadzieja.

- Przypomniałaś mi o czymś. Nie wiem, ile dziesięcioleci Dagger leży nie pogrzebany. Mimo iż jest przyczyną naszych kłopotów, pochówek mu się należy.

- Teraz? - jęknął Finito.

- Ceremonia będzie krótka - odparł grabarz ze współczuciem patrząc na opuchniętą twarz Vita.

- Leży tyle lat, poleży jeszcze trochę... - zaoponowała Annika.

- Nie sądzę, by miał ochotę dłużej czekać - odrzekł zimnym, „służbowym” tonem Monck. Znali go: nie było odwołania.

- Grabarz ma rację. Nie ma potrzeby z tym zwlekać - poparł Elizabethiatha wampir.

Zaniepokojony Monck wlepił wzrok w nie umarłego. Skąd ten nagły entuzjazm dla pochówku?

- Hm... grabarzu - kontynuował Marcel - a jak to jest z tobą i bogami?

- Skąd ta ciekawość, wampirze?

- Kręgowi Najwyższych może się bardzo nie spodobać to, że chcesz zapewnić spokój człowiekowi, który próbował im dorównać.

- Monck potrząsnął głową.

- Wiem, że bogowie istnieją. Owszem. Ale nie wierzę w ich władzę nade mną. Ufam tylko Przodkom, a oni wyparli się bogów, gdy ci zawiedli w Dni Krwi i Ognia.

- Twoja wola. Zróbmy to, co zrobić musimy.

Przygotowania były istotnie krótkie. Monck opowiedział, jak będzie wyglądać rytuał i kiedy jego przypadkowi pomocnicy mają się weń włączyć. Wydobył z tobołka parę zagadkowych przedmiotów.

Zapalił dziwaczny, pokryty runami oliwny kaganek. Potem wyciągnął płaszcz podróżny i nakrył zwłoki maga. Stanęli półkolem, tuż nad bezdennym kraterem.

- Duchy Ognia, duchy Wody, duchy Powietrza, przyjmijcie Dagera w swój poczet. Zapewnijcie mu spokój, bo jego płomień przestał gorzeć - Monck zgasił kaganek - woda płynąć - grabarz wylał bukłak wody na podłogę - a dech owiewać świat - tu rzucił w powietrze pióro, które ku zdumieniu obecnych opadło na ziemię, jakby z kamienia uczynione było.

Przyjmijcie Dagera! - wyrzekli na znak grabarza pozostali uczestnicy ceremonii.

- Ghelogu, demonie zemsty, kary i odpłaty, nakazuję ci odejść! Nic tu po tobie!

W komnacie pomroczało i powiało wilgotnym zimnem.

- Nic tu po tobie, bo wśród nas jest istota, której Dagger uczynił wielkie zło, a która żałuje go i darzy miłością!

Monck wskazał na Neraha og Hageneau, po którego policzku płynęła pojedyncza łza. Płaczący wampir! Ten widok poruszył grabarza.

- Ghelogu, poniechaj Dagera! - wyskandował niezgrany chór.

Mroczna aura zniknęła, powietrze znów było ciepłe i suche.

- Przodkowie! Wesprzyjcie Daggera, jednego z was, towarzysza Dni Krwi i Ognia! Oto przybywa!
 - Daggerze, odpoczywaj w pokoju! - nad głosy wybił się dźwięczny baryton wampira.
- I wtedy z krateru uderzyła pionowo w sufit błyskawica, oślepiając i ogłuszając wszystkich.

- Co to?! Monck?!

Okrzyki zdumienia i przestachu utonęły w grzmiącym śmiechu wampira.

- Monck! Tak jak się spodziewałem: zerwałeś ostatnie więzy łączące go z tym światem! Stworzyłeś boga! Dagger wysłuchał mnie! Patrzcie!

Krater wypełniła czarna opalizująca mgła. Wirowała z zawrotną szybkością, tworząc głęboki lej.

- Jest wyjście! Teraz pamiętam - skaczcie, prędko!

- Chwileczkę! - Monck złapał za ramię Annikę gotową ulec rozkazowi wampira. - Co jest? Ponoć magia tu nie działa?

- Bezpośrednia emanacja Daggera, od dziś pana na wysokościach. Skacz! Nie wiadomo, jak długo będzie trwała.

- Idź pierwszy!

- Nie, ja zostaję. Dość mam bycia celem nieustannych polowań.

- To i ja nie pójdę. Coś knujesz, krwiopijco.

Wampir roześmiał się serdecznie.

- Ależ pójdziesz, mój ty nieufny grabarzu! - Chwycił Francine w pól i cisnął w rozwarty lej.

Dziewczyna jeszcze nie zdążyła zniknąć, gdy Elizabediath Monck skoczył za nią. Doznał uczucia, jakby potężne siły rozrywały go na strzępy, a potem zanurzył się w ciemności.

Łądowanie było twarde. Nie stracił przytomności, ale dłuższą chwilę leżał oszołomiony. Wstał wreszcie i macając w smolistej czerni rękoma, ustalił, że jest w wąskim i niskim korytarzu. Nie miał krzesiwa, kaganek był więc bezużyteczny. Instykt podpowiedział, iż trafił gdzieś we wnętrzości ziemi. Sam. Beznadziejnie zagubiony.

- Francine!! - krzyknął parę razy. Bez rezultatu. Nie chciał myśleć o tym, co mogło spotkać dziewczynę, usiadł pod ścianą w nadziei, że pojawią się Annika i Vito. Jednakże z każdą upływającą chwilą stawało się coraz bardziej jasne, iż cudu nie będzie. Wstał ociężale, korytarz po prawej prowadził wwyż. Szedł nim powoli, lecz bez odpoczynku. Zmierzał ku powierzchni.

Dwa dni później przyszło załamanie. Zresztą, czy upłynęły dwa dni? Nie wiedział. Marsz w ciemności i ciszy, przerywany od czasu do czasu krótkimi nerwowymi snami, sprawił, iż zatracił poczucie czasu. Pragnienie zabijało te resztki nadziei, jakie jeszcze pchały go naprzód. Głód skręcał kiszki, zadrapania i siniaki paliły, ciemność doprowadzała do szaleństwa. Usiadł wiedząc, że nadszedł kres. Miał dość.

Jak długo siedział? Któż to wie. Dość długo jednak, by w sercu zaczął narastać bunt. „Jakże to, mam skonać samotny, ociemniały, w ciszy? Niedoczekanie!” Wstał i wspierając się o ściany poszedł dalej, a dla kurażu zaśpiewał, czy też raczej zaryczał grabarską piosnkę wyuczoną w terminie u dziada:

*„Wesoło było na moim pogrzebie, dawnom się już nie ubawił tak, ptaszki ćwierkały
wysoko na niebie a tłum żałobników śpiewał tak...”*

I wtedy, gdzieś z oddali dobiegł go śpiew chóru, nierówny, odbity echem, ale wyraźny:

„W mogile ciemnej śpisz na wieki ojra, ojra, u-ha, ha!”

- Francine! Vito! - wrzasnął uniesiony, opętańczą radością.

- Moonck! Zaczekaj na nas, ty draniu! - odwrzasnęli chórzyści.

Powitanie było entuzjastyczne. Francine, Vito i Annika mieli światło, wodę. Zabrali nawet wszystkie bagaże. Z ich opowieści wynikało, iż także wylądowali samotnie w ciemnościach, ale w miarę szybko udało im się połączyć. Nie słyszeli Moncka aż do chwili, gdy dał upust swym wątpliwym talentom wokalnym.

Francine mocno obrażona na swego nie umarłego narzeczonego obiecywała sobie, że udzieli mu solidnej dozy pouczeń o tym, jak należy traktować damę. Ale także usprawiedliwiała go.

- Musiał się ciebie pozbyć, Monck. Nie znałby dnia ani godziny w twoim towarzystwie. A pozbawiony atrybutów wampira stanowiłby łatwy łup. Bo przecież nie dałbyś mu trwać. Prawda, Eli?

- Hm. Co teraz zrobisz? - uchylił się od odpowiedzi.

- Wyprowadzę was, a potem wrócę.

- Nie! Nie zrobisz mi tego! Twoja siostra, a teraz ty? Mattheus zamieni mnie w kaczkę lub coś równie głupiego!

Francine nachmurzyła czoło. Po chwili jednak niechętnie przyznała grabarzowi rację.

- Muszę odwiedzić matkę. Wrócę w góry wiosną. Marcel będzie miał czas, by się za mną stęsknić... No i stadnina! Trzeba postanowić o jej przyszłości. Jakoś może wytrzymam te kilka miesięcy, może...

Monck odetchnął z ulgą. Młode dziewczę, pozbawione trującego wpływu wampira miało szansę poznać w tym czasie jakiegoś zwyczajnego młodzieńca.

- Moi drodzy - rzekła Francine podczas posiłku, który uznali za wieczerzę, boć nie wiedzieli, czy na świecie panuje dzień czy noc. - Odnalazłam znaki. Jesteśmy niedaleko Bramy. W tę stronę przejdziemy ją łatwo, dzięki Kluczowi Daggera. Jutro pożegnamy podziemia.

- Nareszcie! Ale, ale, cna przewodniczko - rzekł Vito - czy mogłabyś wyjaśnić, jakie magiczne drzwi miała otwierać złota klamka przesłana przez bliźniaków Monckowi?

- Klamka? Magiczne drzwi? - zdumiała się Francine. - Podejrzewając, że Eli nie śmierdzi groszem, wyjęłam ze skrzyni tatuśka pierwszy cenny przedmiot, jaki wpadł mi w ręce... w końcu ekwipunek kosztuje.

- Przodkowie! - jęknął Vito - Monck, ty głupcze!

- Masz swoją własność - rzekł grabarz podając ciężką, lśniącą rubinem klamkę dziewczynie - żebyśmy wiedzieli, że to na sprzedaż!

- Co się stało? O co wam chodzi? - zdezorientowana Francine przenosiła wzrok ze wstrząsanego nerwowym chichotem Vito na Moncka skrzywionego, jakby go zęby bolały, i wreszcie na poblada Annikę.

- Niko! Opowiedz - wykrztusił Vito.

I jego małżonka streściła sposób, w jaki zdobyła środki na wyprawę i konsekwencje ich uzyskania.

Francine Dalambert straciła na dłuższy czas mowę. Co w jej przypadku było zjawiskiem bezprecedensowym. Wreszcie jednak wróciła do równowagi i wybuchła:

- To okropne! Monck! Wymyśl coś! Przecież nie zostawisz damy w tak straszliwej opresji! Goerth nigdy nie uzna procentów za spłacone!

Elizabeth Monck westchnął zrezygnowany. Damy w opresji stawały się dla niego koszmarem. Jedyne damy, do jakich obecnie tęsknił, spoczywały spokojnie na wymarzonej przezeń cichym cmentarzyku.

- Oczywiście, że coś wymyślę, Francine. Oczywiście - powiedział, by zatamować potok słów.

Rankiem wyruszyli dość szybkim marszem. Nie minęła miara wody, gdy korytarz zwęził się, z ciasnego przejścia biła wąża poświata.

- To już?!

- Nie. Tam za przewężeniem jest coś, co nazywają Bramą. Marcel mówił na to „horror Daggera”.

- Ale...

- Cicho! - przerwał Monck.

- Z Bramy dobiegały dość głośne rozpaczliwe jęki.

- To mi coś przypomina... - rzekł z namysłem Finito i spojrzał na grabarza.

- Zajączek! - stwierdzili równocześnie.

Przodkowie! Gdybyż ten człek miał tyle rozumu co szczęścia, w „Ocalonej Krainie nie byłoby mędrszego odeń. Jednak... Słuchajcie!

* * *

Phil Rope jęczał i płakał przeklinając swą pazerność i głupotę: Oto umierał w miejscu tak okropnym, że sam jego widok mógł przyprawić o pomieszenie zmysłów. Obszerna jaskinia o ścianach pokrytych krwawo rudymi liszczami prześwitującymi spomiędzy festonów dziwacznych, zda się półpłynnych ni to zarośli, ni mazistych wydzielin. A smród! Już on powinien być wystarczającym ostrzeżeniem. Sześciotygodniowy trup leżący w słońcu tak nie zajeżdża. Śmierdzieć musiały dziwaczne twory, bo liczne szkielety zaplątane w ich zwoje dawno już zbyły się ciała. Nawet widok poprzedników nie przekonał Rope'a, by wziąć nogi za pas. Ostatecznie trzymał się z dala od ścian, a drużyna przekłętego grabarza jakoś przeszła. Był już w połowie jaskini, gdy bez ostrzeżenia ze ściany wystrzeliła wiązanka lepkich macek. W jednej chwili skrępowany legł pod ścianą. Zaraz potem nadspodziewanie szorstkie pnącza zdarły zeń ubranie i wczepiły się w ciało.

Leżał już trzeci dzień wysysany i trawiony po trochu. Dlaczego jeszcze nie oszalał? Nie wiadomo. Chciał umrzeć, gdybyż mógł sięgnąć po sztylet! Nie był zbyt subtelnym człowiekiem, lecz teraz pojął, co cierpiały porywane i dręczone na różne sposoby ofiary - ci, którzy mieli czelność narazić się Księżciu Nocy.

Nagle poczuł czyjeś dłonie na głowie, a potem na piersi. Jednak mi odbiło - pomyślał z ulgą. Śmierć będzie już łatwa.

- Wstawaj, człowieku - postyszał znajomy głos. A potem ktoś złapał go za ramiona i wywłókł z pułapki. Gdy Rope oprzytomniał, był już napojony, ubrany i siedział w kucki u wejścia do Bramy, spoglądając w naznaczone tłustym brudem i cierpieniem oblicze Elizabediatha Moncka.

- Powtórz Wielkiemu Goerthowi, iż Monck zawsze spłaca długi. Oddaj to złoto i opowiedz wszystko, co cię spotkało. Żegnaj. Moi przyjaciele zginęli... okropną śmiercią. A ja... nie chcę żyć.

Grabarz wstał, podszedł do pierwszego zwoju zarastającego ściany ohydztwa. Rope krzyknął, gdy pnącza wystrzeliły, by pochwycić Moncka. W przyćmionym świetle błysnęło ostrze i grabarz z nożem wbitym w pierś padł w gęstwą znikając w jej objęciach.

Wstrząśnięty rozbójnik patrzył na skłębione na ciele Moncka węzowate sploty, potem opuścił wzrok na trzymaną w rękę szczerozłotą klamkę.

- To chyba zamyka sprawę - mruknął cicho. Oczywiście nie miał zamiaru nic oddawać Księżciu Nocy. Taka ilość złota pozwalała otworzyć zyskowny interes w każdym mieście Ocalonej Krainy. Zamtuz, może połączony ze stołami do gry w trik-traka?

Chociaż? Gdyby tak jednak udać skruchę i wrócić do jaskini z ogniem? Splądrować grobowiec Dagera i zostać prawą ręką Wielkiego Goertha?

Pokiwał głową i nie patrząc już na zwłoki głupca, który spoczywał o dwa sążnie od niego, wyszedł z jaskini.

* * *

Stali na przełęczy Vari. Monck z lubością wdychał ostre powietrze i grzał twarz w białych promieniach późnojesiennego słońca. Czekali na wysłanych przodem Annikę i Vita.

- A co jeżeli zbóje przyjdą z ogniem?

- Horror Dagera to w połowie rośliny, a w połowie zwierzęta. Nie rozmnażają się. Chyba... żeby poddać je wysokiej temperaturze. A wtedy czynią to błyskawicznie.

- Francine zachichotała.

- Masz talent, Monck. Żaden komediant nie odegrałby sceny śmierci lepiej. Choć pewnie dopiero złota klamka przekonała głupca ostatecznie. Pewnie jej nie odda, ale wieści o naszej zagładzie dotrą do Goertha. Jesteśmy wolni i bezpieczni! Ucałowałabym cię, ale ciągle jeszcze zalatujesz maścią.

- No, ty też nie jesteś czyściutka - odgryzł się Elizabediath i położył rękę na smukłej szyi dziewczęcia, by zetrzeć smugę tłustego brudu - pozostałość po Kluczu Dagera, mazidle zniechęcającym monstra bramy skutecznie, choć na krótko.

Ledwie to uczylił, gdy dobiegł go podniesiony głos Anniki:

- ...jak on się o nią martwił, jak o nią dbał. Prawdziwie szlachetny kawaler...

„Komu tak opowiada?” - pomyślał, zaciekawiony, i wtedy zza głazu wyjechała... Wielka Kapłanka Etiny, spadkobierczyni tradycji najgroźniejszych czarodziejek z Palenk. Katrina. Jego ukochana.

Zdjął dłoń z szyi Francine. Zbyt późno. Katrina zeskoczyła z wierzchowca. I szła ku niemu. Wysoka, szczupła, ciemnowłosa. Oczy miała lodowate, a twarz bladą.

Oj, chyba nie z zimna...

Odgłos wiatru dmącego znad Tuan Dagger do złudzenia przypominał złośliwy rechot.

„I kto tu jest w opresji?” - pomyślał ponuro i z lekką paniką Elizabediath Monck - „no kto?!”

Tomasz Bochiński